

RYDWAN

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY
SPRAWOM TWÓRCZOŚCI
I KULTURY POLSKIEJ



PAŹDZIERNIK
1913

I. IDEE I KONCEPCYE.

1. NASZ WÓZ
 2. ARYSTOKRATA - - - - - FELIKS JABŁCZYŃSKI.
 3. BALETNIK - - - - - CEZARY JELLENTA.

II. PRZEGLĄD.

4. O SZTUCE I CZŁOWIEKU WIECZNYM — ZYGM.
 WASILEWSKIEGO - - - - - CEZARY JELLENTA.
 5. DR. A. HEILPERN: PRZYCZYNKI DO PSYCHOLOGII
 TWÓRCZOŚCI - - - - - STANISŁAW SERWIN.

III. SYGNAŁY.

6. PAN JOWIALSKI - - - - - PROTEUSZ.

WINIETA NA STR. 33, 46 PODŁUG RYSUNKU GUSTAWA GWOZDECKIEGO,
 WINIETY NA STR. 12, 24, 42 PODŁUG RYSUNKÓW LUDWIKA MACHALSKIEGO.

ROK ZAŁOŻENIA 1908.

PRZEZ KRAJ I MIASTO SUBWENCYONOWANY KRAKOWSKI
INSTYTUT MUZYCZNY

ULICA ŚW. ANNY L. 2. ☉ TELEFON NR. 2236.

ZAKŁAD URZĄDZA PORANKI I WIECZORKI MUZYCZNE DLA UCZNIÓW
 BEZPŁATNIE. ☉ UCZNIOWIE INSTYTUTU MUZ. KORZYSTAĆ MOGĄ,
 W GODZINACH WOLNYCH OD NAUKI, BEZPŁATNIE Z INSTRUMENTÓW
 ZAKŁADU I STAŁE Z BIBLIOTEKI SZKOLNEJ. ☉ PRZY ZAKUPNIE NUT
 OTRZYMUJĄ UCZNIOWIE INSTYTUTU PEWIEN PROCENT ZNIŻKI. ☉
 ZAMIEJSCOWI UCZNIOWIE MAJĄ PRAWO, NA PODSTAWIE UZY-
 SKANEGO PRZEZ INSTYTUT MUZYCZNY ROZPORZĄDZENIA KRA-
 KOWSKIEJ DYREKCJI KOLEJOWEJ, DO ZNIŻKI KOLEJOWEJ.

NAUCZYCIELE ZAKŁADU:

Bandrowski Aleksander (śpiew)
 Dr. Bylicki Franciszek (hist. muz.)
 Czerbak Adam (gimnast. rytm.)
 Dieth Antoni (fortep.)
 Gablenc Jerzy (flet)
 Giebułtowski Stan. (skrzypce)

Heumanówna Stan.
 Horakówna Stan.
 Łada Janina (fort.)
 Kaufmanówna Olga (fort.)
 Kopystyński Bolesław (wiol.)
 Pichor Stanisław

Raczyńska Stanisława
 Raczyński Bolesł. (skrzypce, teoria)
 Moscheni Carlo (język włoski)
 Nebelska Alicya
 Czop-Umlaufowa Klara (fort.)
 2. Asystentki. — 1. Asystent

SZKOŁA DRAMATYCZNA ☉ **KAZIMIERZA** ☉
GABRYELSKIEGO
 ~~~~~ W LOKALU INSTYTUTU MUZYCZNEGO. ~~~~~

# WYJĄTEK Z PROSPEKTU RYDWANU

---

Treścią RYDWANU jest rozpatrywanie najważniejszych zasadniczych spraw i wypadków polskiego życia twórczego i ogólnie kulturalnego.

Stanowiskiem RYDWANU jest pogląd na sztukę i literaturę, niezawisły od szablonów i utartych sądów, bezwzględnie wznie­siony po nad partyjność polityczną i wszelką inną.

Zadaniem RYDWANU jest pilnowanie w krytyce wysokiej miary, wskazanej przez wielkie tradycje poetyckie narodu, odnawianie i zasilanie energii twórczej i zapału, przeciwstawianie się produkcji, schlebającej popędowi niższemu i goniącej za tanim poklaskiem.

RYDWAN drukowany jest pismem zwartem, i dlatego, chociaż nie przekracza  $2\frac{1}{2}$ —3 arkuszy, łączyć może bogactwo treści i wykwint formy zewnętrznej z wielką przystępnością ceny prenumeracyjnej.

Każdy zeszyt stanowi mniej więcej zamkniętą w sobie całość.

RYDWAN zasilali dotychczas pracami swojemi pp. Dr. Kazimierz Bereżyński, Dr. Adolf Chybiński, J. Wł. Dawid, J. Albin Herbaczewski, Vlastimil Hofman, Ed. Hoszowski, Karol Koniński, Jan Lorentowicz, Wacław Orłowski, Dr. J. Wł. Reiss, Lucyan Rydel, Marcin Samlicki, Dr. Tadeusz Świątek, Tadeusz Szantoch, Włodz. Tetmajer, Jan Zarycz. Nadto przyobiegało swój udział wielu innych wybitnych pisarzy, a w tej liczbie: Antoni Lange, Feliks Jabłczyński, Maryan Zbrowski i inni.

W roku 1912 RYDWAN zamieścił między innymi:

W dziale myśli filozoficznej: większe rozprawy o Schopenhauerze, o Fryderyku Nietzsche, Przypomnienia o sztuce.

W dziale pomysłów krytycznych: Wyjaśnienie koncepcji „Legionu” Wyspiańskiego, ideowej niezawisłości Krasieńskiego w „Irydyonie” i „Nieboskiej”, analiza arcyzmu Cypryana Norwida, dróg liryki Tetmajera, podłoża ideowego „Płomieni” Brzozowskiego, charakterystyka i znaczenie Jarosława Vrchlickiego, Neomistycyzm.

W dziale rozpraw ze sztuki: o Futuryzmie i Kubistach, o Rousseau jako kompozytorze, o Secesji berlińskiej, o „Pochodzie na Wawel” W. Szymanowskiego, o rewindykacji Wita Stwosza, o krytyce malarskiej, o Wystawie sztuki religijnej, o Wystawie architektury, „Pejzaż polski i wpływ francuski” i t. d.

W dziale szerszych ocen omówione były: „Ozimina” Berenta, „Uroda Życia” Żeromskiego, „Polska literatura współczesna” Potockiego, „Dzieje myśli filozoficznej” prof. Straszeńskiego, „Wizye Krasieńskiego” prof. Zdziechowskiego, Poezye Jedlicza i t. d.

W dziale krytyki teatralnej syntetyczne omówienie dramaturgii Wyspiańskiego, Przybyszewskiego, Ibsena, Bernarda Shawa, ocena ważniejszych sztuk, wystawianych w teatrze krakowskim, i działalności samego teatru.

W dziale polityczno-ideowym rozprawy programowe: Stulecie Napoleona, w myśl wskazań Hugona Kołłątaja, Literatura i Życie, „Wojna”.

W dziale Przeglądu bieżącego liczne krytyki i sprawozdania ze wszystkich działów twórczości, z szerokim uwzględnieniem nowoczesnej muzyki polskiej.

Fejleton satyryczny p. t. Fama krakowska, lwowska i t. d. zawierający przegląd charakterystycznych wydarzeń z życia i literatury danej chwili.

R OK DRUGI WYDAWNICTWA ROZPOCZY-  
NAMY W PAŹDZIERNIKU 1913 ROKU,  
A SKOŃCZYMY W PAŹDZIERNIKU 1914 ROKU.  
W PODOBNYŻ SPOSÓB, T. J. ZAWSZE OD  
PAŹDZIERNIKA DO PAŹDZIERNIKA, LICZYĆ  
SIĘ BĘDĄ I NASTĘPNE ROCZNIKI RYDWANU.

ODPOWIEDNIO DO TEGO PRZEDPŁATĘ  
ROCZNĄ KSIĘGARNIE LICZYĆ BĘDĄ OD  
PAŹDZIERNIKA DO PAŹDZIERNIKA, PÓŁRO-  
CZNĄ ZAŚ OD PAŹDZIERNIKA DO KWIETNIA  
I OD KWIETNIA DO PAŹDZIERNIKA.



# RYDWAN

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY  
SPRAWOM TWÓRCZOŚCI  
I KULTURY POD REDAKCYĄ  
CEZAREGO JELLENTY



R O K D R U G I .

KRAKÓW 1913

0200.3667/1913<sub>14</sub>/c12

K 2711/61/1



## Nasz wóz.

**W** drugą całoroczną podróż dokoła świata sztuki i literatury puszczaćmy się ochoczo.

Jazda tym razem będzie łatwiejsza, nie tylko dlatego, że wóz nasz nabrał skrzydlatego rozpędu, ale że owej sztuki i literatury — takiej, coby godną była wysiłku jego rumaków — coraz mniej. Topnieje twórcza myśl polska w pobliżu kuźnicy spraw najżywotniejszych narodu, a miecze przekuto radośnie na siekiery gospodarcze i noże kuchenne. Myśl twórcza, jako dyabeł traktowana, jak dyabeł kominem ucieka.

Majdan, który mamy obiegać naszym wozem, zmniejszył się w imię potrzeb elementarnych bytu, ale też i ku uciechu tryumfującej płaskości.

Z tymi faktami, o wadze przeobrażeń, liczymy się. Wóz nasz nie ma zamiaru pędzić zaślepionym galopem pod śmigły tych wiatraków rzeczywistości. Społeczeństwo — zmieszczaniało na dobre — nieprawda że schłopiało. Chłopi mają więcej poczucia i instynktów rasy, i substancyi, wyrabiającej duchową fizygnomię narodu.

Trzeba się ukorzyć i odważyć nawet na suppozycję, że odbywająca się wyprzedaż wyższych zamierzeń czyli tak zwanych ideałów, za brzęczącą monetę i doraźny, czasem nawet lichwiarski zysk, jest procesem historycznego znaczenia, że odbywa się przed oczyma naszymi ewolucya społeczeństwa. Zrzuca ono formy, które towarzyszyły jego nieszczęściu, a przybiera nowe w nadziei, że przyniosą szczęście. Nawet śpiewać by można: hosanna! na widok wschodzącego słońca prawdziwego demokratyzmu i praktyczności, gdyby wielu wrzekomych zwiastunów lepszego jutra nie nakazywało milczenia dzwonom kościelnym, co z pół-świńskich, pół-małpich objęć podjadków-trollów, mogłyby hejnałem swym uwalniać.

Ale jakkolwiek bądź, czy fala materializmu narodowego nawołująca do zaborczości (pożal się Boże!) bije o brzegi nasze chwilowo, jako

odbicie i konieczny rezultat przesycenia atmosfery całego świata taką ideą zaborczości czy też, żeby uderzać i w przyszłości, stale i zawsze, musi przecie być jakaś ostoja dla spraw duchowo-twórczych. Niechby ona była tylko asylem dla owych niepotrzebnych naprawdę lub za niepotrzebne ogłaszanych kadr umysłowych i czynów intelektualnych, którym wydaje się mało zgodnem z postulatem nietylko człowieczeństwa ale i polskości, uginać się pod strychulec przeciętności lub poziomości. Schronienie takie istnieć musi; ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś — jak mówi Hamlet.

W takich okresach przejściowych czai się wszędzie niebezpieczeństwo, że życiowa spekulacja wkładać na siebie zechce maskę ideowości, brutalność, ordynaryjnie zachłanna i kannibalska — maskę praw despotycznych życia, jego rozlewności i naporu: kołtuńska nienawiść dla rzeczy wyższych, zasypująca lotnym piaskiem łany i zagony — maskę ekonomicznej energii i t. p.

W takich okresach w parze z nieodstępną demokratyzacją musi iść obniżenie się literatury na poziom lektury kolejowej, poezyi na poziom wierszowanych westchnień do odwiecznej piły-kochanki lub skastrowanego absolutu; sztuki — na poziom galanteryi dla snobów i pocztówek ilustrowanych i kawiarnianego komfortu w wydawnictwach.

Gdy takie zalewy grożą — należy budować stacye ratunkowe i czatownie i baczyć, żeby sztuka i literatura, czerpiąc swoje soki, swoją krew z życia pozostała wielką, jak samo to życie, tworzące narody i epoki, przełomy i wyzwolenia. Są rzeczy na świecie, które o tyle tylko mają sens bytu, o ile są wielkie, — czy to w poczuciu czy i w osiągnięciu, czy w dobrej woli czy i w skutku. Taką rzeczą zaś jest przede wszystkim twórczość artystyczna człowieka i narodów.

Chcemy stanowić jedną z takich stacyj ratunkowych. — A skoro takim jest nasze posłannictwo, dźwigać je będziemy z całym poświęceniem. I z całą bezwzględnością sądu i stanowisk krytycznych. Gwoli przyzwoitości i „taktu“ solidaryzować się możemy z innemi z pozoru podobnemi placówkami — szczerze zaś i w rzeczywistości tylko z temi, które, jak my, zasady twórczości i kultury umieszczają będą na wysokościach. Uznajemy potrzebę przeciwstawienia się nizinom ducha i mieliznom sztuki naprawdę, uczciwie i dosadnie. Paktowanie z niemi zostawiamy owym pozornie podobnym.

Uznajemy coś więcej: że w tym stosunku szczytów do płaskości zachodzi nie „patos oddalenia“ nietzschejski, lecz raczej komizm oddalenia i pracę swoją prowadzić będziemy, jak dotąd, wesoło i radośnie. To nasza „gaya scienza“ — wiedza radosna. Hodujemy bakcyła śmiechu

w tym celu, ażeby, zaszczipiony glebie zarażonej śmiesznością literackością, walczył z nią i ją tępił.

Naszą tedy ocenę sztuki i literatury otaczać będziemy świetlanym pierścieniem pogody, ukutym w złotniczej pracowni gmin Arystofanesa i Horacego. Otaczamy nim, jak sztańcem, prawo do najwyższych probierzów i zagadnień myśli twórczej, gdyż przeciw niemu zwraca się w ostatnich czasach skombinowany atak wszech parafiańszczyzn i wszelkiej demagogii, widzącej wroga śmiertelnego w porywach niezawisłych, zwanych pospolicie prometeizmem.

Aby stać się podobnym do narodów wielkich i szczęśliwych, potrzeba mieć dynamikę twórczą i skalę talentu, wytrzymującą miarę światową; należy chcieć przynajmniej zbliżyć się do arcydzieł i arcy ludzi, albowiem tylko takich ludzkość uszanować i oszczędzić potrafi.

I dlatego jeszcze jesteśmy wozem radosnym, a czasami nawet i wesołym, że wozownią, „garagem“, z którego wyruszamy na objazdy, jest właśnie gród, lubujący się w wozach przeraźliwie smutnych: karawanach. Miasto — kostnica, w niedalekiej przyszłości pewnie i crematorium Polski, usypia dokoła swych urn i sarkofagów spleśniałym, przeraźliwym snem; dumne, że posiada starożytną wszechnicę, karmi się wszechnicnością i z gnijącego chrapania budzi się dwa razy na rok — na kilka chwil, dopiero z spizowym Zygmuntem na Wawelu.

Kraków we wrześniu 1913 r.



## Arystokrata.

Uśmiechnął się swoim uśmiechem zwykłym, poprawiwszy się wygodniej na fotelu.

— Tak, rzekł, są sytuacje, w których pewne rzeczy przedstawiają się nagle w straszliwy sposób wyraźnie, pomimo tego, że przed chwilą nikt nawet nie podejrzewał ich istnienia. Ukazawszy się raz, zmieniają poglądy na wszystko, odsłaniają nowe światy, niby błysk światła w ciemności lub piorunu podczas nocy. Ściana, która przedtem wydawała się szarą masą, majaczącą niewyraźnie, pokrytą pyłem, zarzuconą gratami, staje się nagle stałym kamieniem fryzowym ze świątyni — płaskorzeźbą, na której widać w potężnych liniach rzeźby archaiczne, jakąś walkę tytanów lub tryumfy królów i zdobywców, chociaż ich imiona zostały zapomniane. Z szarości codziennej, ze zwykłych, banalnych objawów życia, występują nagle, niby nagrany atrament sympatyczny, jakieś tragedye, wielkie farsy, tragikomedye i dramaty prawdziwe, obrazy, prawdy i powieści, o których życie zdawało się zapomnieć raz na zawsze, niby o przykrych snach przeszłości, dawno przebrzmiałych. Miały one już nigdy nie powrócić, nie ukazać się w postaci żywej, wtrącać się czynnie do spraw ludzkich. Tymczasem!

Miałem znajomego, przyjaciela — bo nie wiem jak go nazwać. Mieszkał bardzo ładnie. Mieszkanie jego było to małe, ale bardzo cenne, muzeum sztuki, nie tracąc przez to nic z wygod miłego, arystokratycznego apartamentu człowieka pojedynczego, samotnego a światowego, gdzie pomiędzy splotami olbrzymiego pająka brązowego wyciągniętego z jakiejś synagogi lub ratusza czasów Hanzy, często snuły się niebieskawe pasemka tytuniowego dymu, oplatając je niby pajęczyna. Na starej flamandzkiej serwecie, pochodzącej z wyprawy jakiejś kasztelanki z Brabantu, w koszyczkach srebrnych z czasów Borgiów stały świeże brzoskwinie, kieliszki z winem reńskim i biszkopty, a na

to z gobelinu patrzyły suche, poważne twarze rycerzy z czasów wojen krzyżowych lub cnoty chrześcijańskie, w otoczeniu emblematów, im przynależnych.

Gospodarz, a zarazem właściciel tego wszystkiego był bardzo miły, Zbiory kochał na równi z całym mieszkaniem, trybem życia i sobą. Jego osoba była jednym z przedmiotów tych zbiorów — niczem mniej ale może niczem więcej. I nie wiem, czy cenił ją wyżej, niż najcenniejsze, najrzadsze dzieło.

Utrzymywał je, konserwował, restaurował wszystkie na równi z całą umiejętnością współczesnych sztuk i wiedzy w tym kierunku. Brązy, mozaiki, szkła, marmur, drzewo, obrazy, rysunki, tkaniny, koronki, kosztowności, złoto, srebro, brąz, bursztyn, mahoń, heban, laka czy kość słoniowa — każdy materiał był traktowany odpowiednio, przechowywany, zabezpieczony, czyszczony, okurzany z tą umiejętnością i zamiłowaniem, z którymi pielęgnuje się piękną rękę, włosy, podtrzymuje się ciało, skórę, zamieniając je na prawdziwe, żywe utwory wyrafinowanej sztuki. Dywany, rozłożone na podłogach, okna wychodzące na ogród, w tej dzielnicy odsuniętej od środka miasta, napełniały całe to mieszkanie miękka, spokojną ciszą, bez martwoty i smutku klasztoru lub pustkowiecia, wypełnioną subtelnym pyłem odgłosów życia i gwaru wielkiego miasta, które huczało i przewalało się w dali.

Nie było w całym mieszkaniu ani jednego sprzętu, ani jednego przedmiotu, który byłby niepotrzebnym użytkowo, zapomnianym, wepchany w kąt, w cień, niezauważonym, niby owe numery w muzeach, których nikt nigdy nie ogląda.

Cały zbiór, oprawny w dyskretnie dobrane ramy, czuł się tak dobrze, jak i sam gospodarz, który je stworzył dla siebie, dla swoich wybranych gości, spędzając tu całe dnie zajęty mnóstwem drobnych na pozór a bardzo ważnych zajęć, które zna tak dobrze każda wytworna i światowa kobieta, wiedząca dobrze, ile to pracy nieustannej, codziennej, ile umiejętności, staranności, zamiłowania trzeba stracić, aby utrzymać swoją osobę na poziomie doskonałości *sans reproche*, aby w najmocniejszych oświetleniach, wobec tysięcy krytycznych oczu, być *sans peur* — niby owi rycerze, wojujący z całym światem o szlachetność i piękno męskości — no i o przypadające za to nagrody, w tym lub na tamtym świecie!

Siedziałem pewnego razu u niego. Rozmawialiśmy, paląc jakiś nowy gatunek cygar, który przepłynął oceany, urodzony gdzieś na wyspach Antylskich. Oglądaliśmy przy tej sposobności złotą plakietę bizantyńską z XII wieku, przedstawiającą wnętrze Raju. Były tam

pawie i papugi, z przepracowicie wyczelowanemi szczegółami, ro-gacze, wielbłądy i krokodyle, palmy i wszystko, co wtedy nie było tak pospolite jak dziś, w wieku ogrodów zoologicznych, kinemato-grafów i atlasów. Była tam i para naszych nieszczęśliwych, czy nie-fortunnych, nagich prarodzców. Patrząc na ten raj, wykuty w złocie ośmset lat temu i na mieszkanie mego miłego gospodarza, poczęły przypominać mi się, nieokreślenie jeszcze, jakieś starsze czasy. Wspom-nienia budziły się, otwierał oczy jakiś uśmiech, oddawna zastygły, który kiedyś mógł być maską, straszliwie wykrzywioną a dziś może tylko nabytkiem muzealnym — jednym z owych potworów gotyckich, zdobiących rynny katedr od strony północnej, aby stać obok flako-nika z saskiej porcelany, w którym dowieda smętnie bukciek fioł-ków, wczoraj jeszcze pieszczony jakąś delikatną, niewieścią ręką.

Jęły mi się rysować w pamięci jakieś stare marzenia, obrazy od-sunięte daleko, na krańce świata: piękny, rozległy, bujny ogród, wielki jak puszcza, odosobniony, jak oaza, o ziemi ciemnej, cieplej, wilgot-nej, pełnej humusu, gdzie kwiaty miały barwy zapożyczane wprost od tęczy, zieloność soczysta, owoce wszystkie uśmiechy pożądliwości zdrowej i jasnej, gdzie błękit spokojny, przejrzysty, opiekuńczy wypeł-niał wielkie i gęste korony drzew, a u stóp ich, wśród łąk, rozłó-gów, toczyły się krystaliczne strumienie, ukazując dna czyste i pełne cudów.

W ogrodzie żyły zwierzęta, wszystkie w rodzajach swych, a wśród nich para ludzka, patrząc na piękny świat oczyma dziecka, które przy-patruje się wróblom, siedząc na kolanach matki.

Wśród tego wszystkiego przechadzał się on, Stwórca.

I stanęły mi w pamięci czasy znacznie dawniejsze, kiedy, wśród sił surowych i skłóconych, przedwieczny chaos, tylko siłą swej cięż-kości zapadał się nieustannie sam w siebie, niby w otchłań, przewa-lając olbrzymie, bezkształtne kłęby swego cielska, kiedy ryczał, sączył krew czarną, którą się żywił, dusząc się w oparach własnych, gryzą-cych oddechów.

I widziałem, jak On tam, w tym chaosie, stwarzał Raj, oddzie-liwszy go od reszty wszechświata. Jak zbierał tęcze, zapachy, drogic kamienie, esencje zewsząd, gdziekolwiek w wielkiej i chaotycznej grze zjawisk natury wytworzyło się coś pięknego, wonnego, jasnego, żywego. Jak wynosił je z wirów walczących z sobą sił, z pieczar tajemnych, z niedostępnych szczytów, ziejących ogniem, z głębin, i umieszczał w Edenie, pielęgnując każde ziarenko, każdą zaródk. Widziałem, jak z blasków, w ten sposób zebranych stworzył słońce, księżyc i gwia-

zdy, jak z błękitów utkał niebo, jak zbierał wszelką wilgoć z wnętrza skał, aby stworzyć krynice, jak łowił rozproszone po nieskończoności życie, jak łączył zawarte w niem ziarna ducha, aby zbudować dla siebie Raj ziemski, mieszkanie ciszy, spokoju, piękna, dobra, oddzieliwszy go od dzikiej surowości, od śmierci pustyń i przepaści, od wiecznego niepokoju i nieustającej walki, które pozostały po za granicami pięknego kraju tak, że nawet wiadomość o nich była tam zakazaną. Nazewnątrż pozostały esencye sił, które działają rozprzegając, ślepe nienawiści, które niszcząc, stwarzają, pozostały walki bez wytchnień i potęgi, pełne ciężarów, które gniołają wszystko, nie mając litości nawet dla samych siebie.

I pamiętam, jak jedna kropla esencji wzbronionej padła pewnego dnia w ciszę i spokój rajskiego ogrodu, aby stać się przyczyną jego zniszczenia.

Pamiętałem, jak rozpełzła się niby wąż, wśliznąwszy się w postaci niewidzialnego oparu, cicha jak podszept, jak przeniknęła w głębie rzeczy, niby spojrzenie, sięgając największych tajni, niby myśl, dążąca do celu w skrytości, ufająca tylko sobie, niewidzialna a potężna, niby budzący się po raz pierwszy żywioł namiętności, dreszcz rozkoszy przeczuwanej, który wprawia wszystkie fibry ciała w stan pragnień, nadziei i niepokoju.

I pod wpływem tej esencji, dzięki jej, ukazała się fatalnie, ukrywana, osłonięta pięknem wybrania, prawdziwa treść Raju, tak mozolnie zbieranego, i tak skrupulatnie oddzielonego od wielkiego, dzikiego, straszego Chaosu, który był ich istotnym ojcem i matką.

Rozkazano im pozostać po za bramami przybytku.

Ale jedno ich dziecię odrzucone, niewybrane, przedostało się! Był to wąż!

Surowa matka, wygnana po za granice szczęścia, wydanego w bólach przez jej własne łono, odebranego jej następnie, wziętego na dwór wielkiego pana, który uczynił zeń piękne pacholę — ta matka upomniała się o dziecko! Z pięknego pacholęcia uczyniła nieposłusznego, niesfornego, grzesznego przestępcę i... odebrała dziecko z odwrotem, obudziwszy w nim jego prawdziwą, własną, istotną naturę.

Pamiętam smutek, który zapanował tam, gdzie do Raju przywiązano tyle nadziei. Pamiętam gniew Jego na Fatum, które zburzyło nielitościwie sztucznie stworzoną rajską cieplarnię, gdzie miało wyrosnąć szczęście — czyste spokojne, wieczne, bez cieniów, bez mozołów, bez walk, namiętności, bez śmierci!

Ratował swoją ideę, ratował wielokrotnie. Ratuje i dziś! Ale...

Małeńka kruszyna tej esencji, która stworzyła ongi tyle zniszczenia, dostała się i mnie w przeznaczeniu, jak zresztą wszystkim, w mniejszym lub większym stopniu. Trzymam ją w starym pierścieniu, w jednym z tych, w których przechowywano dawniej trucizny.

Niszczyły i one, zamieniając człowieka żyjącego na bezładny zbiór chaotycznej materii, wrywając go z rajów, które sobie stwarzał.

Moja trucizna działała nie tylko na żywych ludzi, ale i na przedmioty martwe, na dzieła i myśli, które rozpadały się na pierwotne życiowe elementy z chwilą, gdy przenikała je esencja chaosu.

I kiedyś patrzyłem wtedy na arystokratyczny, miły raj sztuki, stworzony umiejętnie i pracowicie przez mego przyjaciela, zbierany z pietyzmem, ze wszystkich epok, ze wszystkich krańców świata, zewsząd, gdzie się rodzą cuda, przypominał mi się mój pierścień, zawarta w nim esencja i straszliwe skutki jej emanacji.

I kiedyś, pewnego wieczoru, kiedyś opuszczał raj komfortu i sztuki, stworzony niby oaza na tle gwaru, wiru, walk, głupstwa, brzydoty, fałszu, nieszczęść, zamieszania wielkiego, milionowego miasta, aby się przekonać, czy pierścień nie stracił siły, pozostawiłem w mieszkaniu cząstkę jego emanacji, nadzwyczaj słabą i nikłą, tak nikłą, jak cień wspomnienia, który zatrzymuje niekiedy, na chwilę, czarę, podnoszoną do ust, gdy jednocześnie spojrzenie usiłuje odczytać jakiś w półzatarły napis z uczy Heliogabala.

I skutek nie kazał na siebie czekać długo.

Pamiętam, był to dzień pełni wyjątkowo pięknej, jasnej, uśmiechniętej wiosny.

Miasto, po błotach, mgłach, przymrozkach długo marudzącej zimy, nagle wyczyściło się i uśmiechnęło. Piękny blask nieba, pęki drzew, zapach wiosny wyciągnęły z zamknięcia domów całe tłumy ludzi, wrażliwych na aurę, jak pierwszy lepszy robak lub najskromniejszy listek najmizerniejszej rośliny.

Wyszedłem i ja pod otwarte niebo, aby się orzeźwić słońcem i zanurzyć się w tłumie. Zaszedłem do mego znajomego, któremu niedawno, do jego edenu, wpuściłem złowrogą esencję, pragnąłem przekonać się, jak podziałała. Nie miałem obaw ani wyrzutów sumienia, bo doza była minimalna.

Ale nie zastałem go w domu.

W mieszkaniu nic się nie zmieniło, prócz oświetlenia wiosny, które wpadało przez otwarte okno nieco brutalnie, nazbyt jasne, czyste, świeże, żywe, wesołe, zamieniając ciepłe, ciche, miłe, spokojne wnętrza w martwy cokolwiek zbiór muzealny, kiedy to muzea stoją



pustkami, bo ludzie, odwróciwszy się chwilowo od sztuki i pamiątek, pławią się w letnich falach mórz, pną się po urwiskach gór lub odpoczywają w zielonej ciszy lasów.

Tylko służący, który mi otwierał, miał cokolwiek niewyraźną minę, która mię zastanowiła.

— Pan poszedł trochę na spacer, bo czuł się niezdrów. Ale zaraz pewno wróci — odpowiedział.

Nie chciałem czekać w mieszkaniu, wyszedłem. Ale spotkałem moją ofiarę na schodach. Zawrócił mię z drogi.

I przekonałem się, że fatalny element poskutkował, sprawiwszy swoje: z pod pięknej, arystokratycznej powłoki, ukazał się zwykły, chory człowiek. Pod spokojną, wybraną piękną powłoką dzieła sztuki ukazało się życie — to, które tworzy dzieła swe w chaosach walki, w pracy zacieklej, wśród dążeń, wysiłków, bólów, radości, tryumfów, które odbywają się na stosach, krzyżach, na polach bitew, łożach boleści, w ciemnych lochach, gdzie najmocniej tryumfują istotni zwycięzcy tego świata, wrywający się nieustannie z objęć przepaści, która pochłonać chce wszystko.

W dziełach, pod wpływem fatalnej esencji, ukazał się żywioł ludzki: zimne, biedne pracownie malarzy, rzeźbiarzy, poetów, ciemne czarne warsztaty złotników, cyzelerów, snycerzy — tych wszystkich, którzy owe pieszczone dzieła sztuki tworzyli. Ukazał się Giorgione, suchotnik i melancholik, Leonardo da Vinci tragiczny wygnaniec dobrowolny, skromny brązownik, dobrotliwie uśmiechnięty Verocchio, — zasępiony wiecznie, jak anioł upadły, Buonarotti, — ciężki, starczy, męczony Tycyan, i tylu innych znanych lub bezimiennych, którzy budowali, rzeźbili, pisali, tworzyli, urządzali, wydawali prawa, uczyli etc. pragnąc ziemię zamienić na Raj a ludzi na aniołów.

Mieszkanie miało pozory dawnego, ale wszystko nagle zyskało inną duszę. I spokojne rysy zmięły się.

I mój przyjaciel wyglądał tak samo. Zwykły, elegancki jego wygląd był zmacony, w tualecie znać było lekkie zaniedbanie, a na twarzy plamy, zmarszczki, nieporządki.

— Coś mi jest, nie wiem, musiałem się zaziębić. Może to wiosna, zmiana — rzekł, próbując dowcipu, który mu się nie udawał.

Nie wiedział, co to było... Ale ja wiedziałem i zegnając go, zabrałem fatalną esencję.

W parę dni potem odwiedziłem go znowu.

Był taki jak przedtem. Mieszkanie wróciło do dawnego wyglądu.

— Patz pan — mówił z zadowoleniem, pokazując mi świeżo nabyty gobelin — czy nie чудо?! Czternasty wiek. Co za kolor — a figury!

A po za oknami, daleko, szumiał chaos miasta, które podobne tkaniny tworzyło z wełny barwionej purpurą, czy też z fibrów ciała lub mózgów...

*FELIKS JABŁCZYŃSKI.*



## B A L E T N I K.

(FRAGMENT).

Gabinet restauracyjny, sąsiadujący z salą publiczną do tańca, tz. tańcówką, oddzielony od głębi drzwiami i portyera. Całkiem dokładnie i wyraźnie dochodzi taneczna muzyka, przeważnie walce Straussa i Lehara. Słychać też niekiedy i samą wrzawę taneczną, krzyki ochocze i rozmowy. Stół obficie zastawiony jadłem, owocami, trunkami i kwiatami. W ogólności pokój umeblowany zbyt kownie, jednak nie z najlepszym smakiem. Przeważa „secesya”. Nastroj podniecony. Kielichy krążą gęsto. Szczególnie Pikuła często nalewa innym, o sobie też nie zapominając. Mówi głosem niezawsze pewnym.

## S C E N A I.

*Klara Tyniecka ubrana elegancko, nawpół balowo, Milską, Pikuła, Hułański i Bochwic. Bochwic i Klara siedzą na kanapie, reszta na małych fotelach. Dwa miejsca, przed którymi również stoją nakrycia i kielichy, chwilowo opróżnione.*

PIKUŁA. Jużem wam powiedział. Ja zawsze przychodzę sam. Najmocniejszym człowiekiem — powiedział Ibsen — przez usta Wroga ludu — jest ten, co sam stoi (*próbuję powstać, lecz wnet całym ciężarem siada*). Ponieważ Ibsen jest nudna bestya, aczkolwiek nie głupia, więc wprowadzam poprawkę i mówię: Najsilniejszy człowiek jest ten, co sam siedzi!

HUŁAŃSKI. A najsłabszy ten, co sam — no zgadnij stary?...

PIKUŁA (*uroczyście*). ...Co sam leży!

MILSKA. Protestuję przeciw gadaniu świństw.

BOCHWIC. Macie rację. Łączę się z wami! Piję za zdrowie waszej wstydlivosti i waszej cnoty! Oby się wam uchowała jak najdłużej! (*śmiechy*).

HUŁAŃSKI. Ale niechże Bóg bronii! Co pani na to? Maszże zostać starą panną, czy siostrą miłosierdzia?

PIKUŁA. A ja piję zdrowie trwałości jej cnoty! Tak jest — brzydkie kobiety powinny być bezwzględnie cnotliwe!

MILSKA (*zrywa się i rzuca w Pikułę kwiątem*). Nicponiu jeden, możesz że ręczyć za moją cnotę?

PIKUŁA (*rycersko przykładając dłoń do piersi*). Mogę! I za brzydotę też! Jestem specjalistą od brzydkich kobiet. I z tego tytułu ja jeden tylko zamierzam godzić w wasze dziewictwo — tak długo, aż ugodzę! Wy byście co prawda woleli, żebym się z wami ożenił — ale ja nie głupi-m dzielić się z Hułańskim? Oho! Bo przecież, gdy tylko dziewica wychodzi za mąż, on już szykuje płótno albo glinę i — otomanę.

KLARA (*która przez cały ten czas słuchała szeptu Bochwica lub szeptem odpowiadała mu*). Nie, ja na to małżeństwo nie pozwolę! Pikuła musi się ożenić z kim innym — z panną Magdaleną. Tutaj już będzie zabezpieczony.

PIKUŁA (*z pewną powagą*). Wiecie co, Klaro! Nie bardzo! To nie taka brzydota co to jest brzydka, ale taka co to bywa pięknoscia. Znam takich, co za nią szaleją, ale się jej boją... Przyjrzyjcie się jej kiedy w wieczornem świetle, jaką wspaniale jasną i w swej jasności subtelną ma twarz! Jakie wielkie oczy niby piwne, ale właściwie jakieś orzechowe, zupełnie tego samego koloru co jej warkocze. Klaro, śmiałybym się, gdybyście kiedy jeszcze byli zazdrośni o Magdę... To jest brzydota, którą kochałby Baudelaire, albo Huysmans. I tam, powiadam wam, muszą być otchłanie namiętności.

KLARA. Pikuła, oświadczam uroczyście, że z was doskonały kandydat do małżeństwa, do tego małżeństwa. Moje błogosławieństwo!

BOCHWIC. Tylko, że Magda podobno ślubowała nigdy nie wychodzić za mąż...

HUŁAŃSKI. Bochwic, wiesz co, ożeń się ty z Klarą, to wtedy Magda z chęcią za ciebie wyjdzie i nawet wyjedzie.

BOCHWIC. Burzuje! Z ust wam nie schodzi małżeństwo! Załóżcie sobie biuro stręczenia małżeństw. A b a s mężowie i żony! Niech żyją ludzie wolni! Niech żyje ich królowa, Klara Tyniecka, która w miesiąc po ślubie rzuciła męża i mężnie odpierała ataki stu konkurentów! Zdrowie twoje Klaro, co zrywasz śluby! (*Nalewa wina, trącają się*

*i piją*). Choćbyś była tak głupia — a nawet najmędrze kobiety miewają chwile zaćmienia, że tak powiem, słońca (*Pikęła chrząka znacząco*) — a właśnie słońca! — i wyszła za mąż za mnie, to pozwalam ci i upoważniam cię publicznie w tem całym gronie senatorów — żebyś mię nazwała idyotą, a sama uciekła po miesiącu — ześlizgnąwszy się z okna kaźni małżeńskiej po jedwabnej drabinie w dół!

KLARA. Ale tymczasem nie mam najmniejszego zamiaru dążyć do tego, żeby światło mojego rozumu zaćmiło się!

BOCHWIC. Więc ci za to chwala! (*Całuje Klarę w rękę ze szczególną poufałością, rękę zatrzymawszy w swojej, pieści się z nią dłużej*).

HUŁAŃSKI (*zafrasowany*). Wszystko to bardzo piękne, ale mój szlachcic pewnie się niecierpliwi. Jeśli spóźnię, stracę przyjemność zbadania bliżej jego oblicza i niewątpliwie kilkaset papierków za portret. (*Patrzy na zegarek*). Do widzenia, moi kochani... Mam nadzieję, że was tu jeszcze zastanę (*wychodzi spiesźnie*). (*Wpada Puchowicz z Wrońską pod rękę, oboje zadyszani od tańca, Puchowicz siada na jednym z wolnych miejsc i sadowi obok siebie Wrońską. Ona chłodzi wachlarzem jego i siebie*).

## S C E N A 2.

PUCHOWICZ. Wina, dajcie wina czempredzej (*nalewają obojgu, piją*). Mówię wam, nie ma to jak tańczyć demokratycznie. Wszystkie kokoty sypią do mnie oko i radeby wyrzeć mnie z objęć Wrońskiej. Tańczyłem z dwiema. Jedna mi się oświadczyła — i zapewniała, że mogłaby bardzo prędko się we mnie zakochać i to całkiem bezinteresownie — powiada.

WROŃSKA. Zaświadczam, że tak było! I zdaje mi się, że Puchowicz, choć się gwałtownie zapiera, ofertę przyjął.

BOCHWIC. Zawsze wierzyłem w lepsze instynkta Puchowicza. Jest urodzony na ulubieńca półświatka, który jest właściwie dwa razy większym od całego świata! Co, może powiecie, że nie? A kto wymyśla mody? Kto pierwszy kładzie jupe-culotty? Kto wystawia się na szyderstwa hołoty mieszczańskiej? Kto najlepiej rozumie, że warto stu ludziom sprzedawać się, byle mózdz jednego kochać całą duszą, całą czystością wewnętrzną — jednego poczciwego bandytę lub apasza? Puchowicz, nie odrzucaj oferty! Idź za głosem natchnienia. (*Klara uśmiecha się i miłośnie spogląda na Bochwicą*). Jesteś najgenialniejszym z ludzi i najlepszym z lekarzów świata. Należy ci się

nagroda! Gdyby Klara była kokota, prosiłbym ją, żeby ci się oddała... (*Powoli daje się unieść jakimś błyskającym mu nagle myślom*). Wart jesteś tego! Klaro, błagam cię, daj mu się pocałować w szyję — w twą cudną szyję! O, w to samo miejsce, które ja niedawno ośmieliłem się, że tak powiem — pocałować. No, Puchowicz, nie ociągaj się, żadna kokota takiej szyi łabędziej nie ma!

(*Klara zanosi się od śmiechu*).

PUCHOWICZ. Czy pani dobrodziejka pozwala? Uczynię raz wyjątek i pocałuję kobietę, która nie jest ani moją pacjentką — choć może nią niedługo będzie, dzięki pewnemu panu Bochwicowi — ani prostytutką!

BOCHWIC. Ależ tu niema żadnych wyjątków! Równość wszystkich wobec szampana! Nie pros o pozwolenie — ja ci je daję! (*Klara rozbawiona kładzie głowę na wezgłowie kanapy, Puchowicz podbiega i szybko całuje Klarę w szyję. Klara zrywa się, ale nie przestaje się śmiać*). No, a teraz w usta, raz jeszcze! (*Puchowicz wykonywa polecenie z wielkiem ukontentowaniem*).

PIKUŁA (*zrywa się ze swej półdrzemki*). Jakże to, a ja to nic? (*wstaje i zbliża się ku Klarze*).

BOCHWIC (*odsuwa go*). Tyś nie zasłużył. Co innego Puchowicz. Puchowicz to nadczyłowiek! Hołd mu!

WRONSKA. Ja się zlituję nad Pikułą i pozwolę się pocałować w czoło! Chodź, pocziwy Pikuła!

MILSKA. I ja też — ja we włosy, podobno są pachnące. (*Pikuła całuje obie z namaszczeniem*).

WRONSKA. Ale i w rękę!

MILSKA. Rozumie się! (*obie wysoko nadstawiają ręce*).

PIKUŁA (*kręcąc się w zakłopotaniu dookoła, jakgdyby skonfundowany, całuje jedną i drugą*). Zawsze byłem zwolennikiem jak najdalej idącego podziału pracy. Dla jednych są ręce, dla innych — nogi. Taka już jest technika dzisiejszego stroju ekonomicznego (*siada*).

(*Wkracza kokieterjynie kwiaciarka z wielkim płaskim koszem kwiatów na ramieniu: róż, dali, narcyzów i t. p.*)



## S C E N A 3.

KWIACIARKA. Może państwo kupią kwiatków? Panowie pewno kupią dla swoich pań (*podchodzi z pękiem róż do Bochwica*).

BOCHWIC (*odsuwa ją*). O, nie, ja z zasady kwiatów nie kupuję. A jeśli, to tylko dla siebie (*bierze szkarłatną różę i wpina ją sobie do butonierki*). Damom nie kupuję, bo wówczas myślą, że jestem w nich zakochany.

KLARA (*z uśmiechem niedowierzania*). Jakto, i mnie nie?

BOCHWIC. I tobie nie. Tobie przedewszystkiem nie, bo oto przed chwilą pasowałem cię na kokotę — i już nie jesteś damą mojego serca.

PUCHOWICZ. Klara Tyniecka kokotą — brawo!

PIKUŁA. Kokota! Kokota!

WSZYSCY (*prócz kwiaciarki*). Klara Tyniecka — kokota!

KLARA. Zemszczę się, poczekaj!

BOCHWIC. Ale żeby nie myślano, że przez skąpstwo nie kupuję, masz oto, Pikuła, pożyczam ci, bo pewno goły jesteś, jak turecki święty, kup wszystkim trzem. (*Daje mu pieniądze. Kwiaciarka podchodzi kolejno do wszystkich kobiet. Pikuła jej towarzyszy i wybiera kwiaty, potem płaci*).

PUCHOWICZ (*który przedtem już gestami wyrażał pochwały dla urody kwiaciarki*). Ładna dziewczyna! (*Do Bochwica*). A jaka świeża jeszcze!

BOCHWIC. Ładna szelma, ona by się w naszej kompanii przydała (*zrywa się nagle*). Nie, tak być nie może! Jakem powiedział: Wobec Pommery se c równość powszechna... Panienko, za nasze kawalerskie! Jeden kieliszek! (*Nalewa dwa kielichy szampana*).

KWIACIARKA. O dlaczego nie? (*z uśmiechem zalotnym*). Za to panu dam jeszcze jeden śliczny narcyzik (*wybiera i podaje. Bierze kielich nieśmiało, ale wprędce się ośmiela i mówi z gracyą i swobodą*). No, za nasze kawalerskie! (*Głośno trąca się. Kwiaciarka wychyla duszkiem*).

BOCHWIC. A teraz powtórzenie! (*Nalewa*). Ale teraz to już nie za kwiaty, tylko za..... całusa! Dobrze! (*Obejmuje kwiaciarkę poufale i całuje głośno w policzek. Klara porusza się wzburzona*). Tylko proszę, żadnych protestów! Ta, co rozdaje kwiaty, ma największe prawo do moich pocałunków!

PIKUŁA. Moznaby myśleć, Bochwic, że inne dają ci tylko ciernie, tak łaskawy jesteś na tę fioraję.

KWIACIARKA. Czy państwo tu częściej bywają?

PUCHOWICZ. Jak kto. Niektórzy nie opuszczają żadnej tańcówki. Dowidzenia więc, panienko. (*Kwiaciarka, zrobiwszy dyg, wychodzi. Muzyka zaczyna grać na nowo, rozlegają się kołyszące, zmysłowe rytmy walca, z jednej z najnowszych operetek*).

#### S C E N A 4.

BOCHWIC. Nie! Nie wytrzymam dłużej! Klaro, idziemy tańczyć (*Bierze Klarę za rękę i unosi z miejsca. Stoją na przedzie sceny*).

MILSKA. Pierwszy debiut!

WROŃSKA. Pierwszy debiut. Powodzenia!

PIKUŁA. Muszę iść popatrzeć, jak donna Klara tańczy walca wśród wesołych Fryn!

BOCHWIC. Spodziewam się, że donna Klara potrafi sprostać swemu zadaniu i znajdzie się nie jak nowicyuszka. Klaro, pomnij, że nie wolno ci odmawiać innym, jeśli cię poproszą do tańca (*sentencyonalnie*). Jest to twój pierwszy krok na drodze powszechnego głosowania i prawa biernego wyboru!

(*Podczas całej następnej rozmowy Puchowicz i Piкуła chodzą pod rękę, paląc papierosy, a Milską i Wrońską w głębi przed lustrem poprawiają uczesanie. Wszyscy od czasu do czasu zwracają się ciekawie w stronę Bochwica i Tynieckiej, aż w końcu przystają zupełnie i słuchają*).

KLARA. Ponieważ ty jesteś prezydentem tego parlamentu, więc cię oddaję w opiekę.

BOCHWIC. Boisz się? Boisz się, że jakieś grubsze od moich ręce obejmą cię w pół?

KLARA (*przemagając się*). Nie boję się!

BOCHWIC. Boisz się pranych w benzynie rękawiczek pana kancelisty z Magistratu?

PUCHOWICZ (*wtrąca zdala*). Lub buchaltera z kantoru assenizacyi...

BOCHWIC. Boisz się, że wionie na ciebie tchem skórzanym właściciel składu obuwia, skąpany w „cwietocznom odekołonie“!

KLARA (*rażniej*). Nie boję się!

BOCHWIC. To nic! Tam są i ludzie lepsi, eleganccy cyganie, tancerze zawołani! Pod ich gorącymi spojrzeniami i nerwowymi dłońmi — czuć się będziesz jak — jak — twój ulubieniec, rozzmysłowiony Aubry Beardsley pod stosem jedwabnych poduszek, sam małeńki, nikły, palony żądzą, w olbrzymim łożu, w którym mógłby się pomieścić harem!



KLARA (*zahypnotyzowana i całkiem dostrajając się do tonu mowy Bochwica*). A ty będziesz, jak Tannhäuser na wzgórzu Weneri! Ona — niby ja — będzie cię kusiła ramionami i całym cudem swoich kształtów, a wokoło dręczyć cię będą strzały spojrzeń stu menad i bachantek, nie mniej pięknych, nie mniej zmysłowych!

BOCHWIC (*z sztucznym, wzrastającym ogniem i upojeniem wizji*). Tam jest przebrany w odzież miejską, w czarny frak i białą kamizelkę sam bóg Satyr — tam żądza Dyonizosa hula i jak wichur próbuje rozedrzeć wstęgi, ściągnąć suknie i rozwiać włosy! Popraw swój dekolt! (*Obciąga na niej stanik i uwydatnia wycięcie, przelotnie je całując*). Śnijmy, że idziemy nie na wyszczotkowaną posadzkę, lecz na zieloną murawę, pod ścianę stuletnich dębów!

KLARA (*w uniesieniu*). Posypmy się kwieciami! oto je rwę i szarpie na płatki! (*Bierze kwiaty z wazonu i poobrywawszy listki, obrypuje niemi siebie i Bochwicą*). Tak samo szatan Ropsa posiał nad odwiecznym morzem kawały prachuci ludzkiej, ażeby się z nich zrodziły nowe szały, nowe upojenia i nowe męczarnie pragnień!

BOCHWIC. Tak jest! Jak szatan Ropsa! Idziemy! (*Bierze Klarę za rękę i z szerokim, teatralnym gestem śpiewa motyw z Fausta „A sam czart prowadzi bal“! Reszta rozstępuje się. Bochwic i Klara wychodzą jakby tryumfalnie przez szeroko rozchyłone drzwi. W tej chwili muzyka głośniej gra; słychać dobitniej taniec wielu par. Gdzieś z boku śpiewa głośno z orkiestrą jakąś wesoła gromadka. Rozróżnić można głosy męzkie i kobiece. Pięć i Puchowicz, Miłska i Wrońska patrzą z napiętą uwagą na tańczących. Trwa to jakąś chwilę, poczem zaczynają wołać: Brawo! Brawo! Wprzód pojedynczo, potem zbiorowo, wszyscy czworo. Zjawia się Hułański wracający z miasta i czas jakiś przygląda się wraz z innymi*).

## S C E N A 5.

HUŁAŃSKI. Jutro we wszystkich świstkach brukowych będzie wiadomość o występie publicznym Klary Tynieckiej na Balu przyjacielskim. Winszuję! A „Bak“ gotów jeszcze pomieścić jej karykaturę. Nie dziwiłbym się zresztą — sam z wielką ochotą narysowałbym ją, jak z kwiatami we włosach i rozchyłnemi jak menada ustami wygina swoje wspaniałe, przyznać muszę — linie. Bajeczna kobieta!

MILSKA. Macie jej za złe, że raz wreszcie porzuciła swoją pozę, i stylowość mistycznej dziewicy à la Burne Jones?

HUŁAŃSKI. Owszem, przez przyjaźń dla Bochwica, chwalebę jej, że tak poszła na lep.

WRONSKA. Jak to rozumiesz, wiecznie trzeźwy człowieku?

HUŁAŃSKI (*dzwoni na garsona*). Głodny jestem, psiakrew! Przez dwie godziny musiałem szkicować przy lampie tego bogatego szlagona... Inaczej uciekł by mi portret... Nikt nie przychodzi... (*dzwoni; do Wronskiej*) Powinnaś wiedzieć, jak to rozumiem. (*Zjawia się garson*).

## S C E N A 6.

GARSON. Co pan dobrodziej rozkaże?

HUŁAŃSKI. Co macie gotowego? Aby prędko! Proszę mi dać kotlet cielecy i butelkę wody Bilińskiej.

GARSON. W momencik, proszę Pana (*wybiega*).

## S C E N A 7.

HUŁAŃSKI. Bo, uważacie, Bochwic jest dzisiaj wyjątkowo mądry. Skompromituje Tyniecką i przez to uczyni ją zależną od siebie. Gdy ją wezmą na języki i poczuje się osamotnioną, tem łatwiej w jego sidła wpadnie.

MILSKA. A jeśli on ją kocha, kocha naprawdę, namiętnie?

PUCHOWICZ. Ja, co prawda, nie bardzo wierzę w jego miłość dla kobiety, którą pozwolił pocałować w szyję mnie — słyszycie? mnie! I którą dziś uroczyste wyświęcił do cechu kobiet z półświatka! (*Garson przychodzi z tacą i stawia przed Hułańskim; poczem ukłoniwszy się wychodzi*).

PIKUŁA. Coś bardzo skromnie dzisiaj, Hułański... Pewnieś nie dostał zaliczki...

HUŁAŃSKI. Kiedy wy urządacie orgię — musi być ktoś, coby czuwał nad stadem, jak zóraw! Otóż ja muszę być zórawiem (*je szybko i popija*).

(*Muzyka przed chwilą grać przestała. Naraz słychać zdala wołanie: Cake-walk! Cake-walk! Muzyka zaczyna grać wstęp do cake-walka*)

MILSKA. Cake-walk! Słyszycie? Musimy to przecież zobaczyć zbliska!

WRONSKA. Ach, ja przepadam za cake-walkiem! (*Obie chwytają Pikułę pod ręce i gotują się do wyjścia na salę*).

HUŁAŃSKI. Do dyabła, to i ja nie usiedzę tutaj! Poczekajcie se-

kundę! (*Dojada bardzo prędko, ociera usta serwetką, wypija cokolwiek cudzego wina i razem z innymi znika za portyerą*).  
*(Słychać różnego cake-walka, tupot i śmiechy. Bochwic wraca z Ty-niecką, objąwszy ją w pól. Oboje podnieceni i rozgorączkowani)*.

## S C E N A 8.

BOCHWIC. (*Obrzuciwszy wzrokiem gabinet*). Wszyscy tańczą... To dobrze... Jak tu przeraźliwie widno — nie znajdujesz Klaro? (*podchodzi do ściany i jedno ze światel przykręca, ściemnia się nieco. Siadają oboje na kanapie. Bochwic wyjmuję butelkę z lodu i nalewa dwa kielichy*). Wiesz, Klaro! Byłaś wspaniała! Nadzwyczajna! Jesteś stworzona do bachanalij! Oni to wszyscy czuli! Będą się bić o ciebie.

KLARA. A one o ciebie! Zaimponowałeś im ogromnie, — mógłbyś je wszystkie wziąć, gdybyś zechciał...

BOCHWIC (*pijąc*). Gdyby nie to, żem się zdążył porozumieć z muzykantami i wsunął im w łapę trochę monety, żeby zaraz dali hasło ponowne do cake-walka, byłby skandal. Widziałem, że kilku zuchwalszych miało ochotę podążyć za tobą i byłiby napewno wtargnęli tutaj. A tak to szczęśliwie zwabił ich wszystkich taniec. Była by awantura nie na żarty!

KLARA (*przysuwając się do Bochwica i kładąc głowę na jego ramieniu, głosem przenikliwym*). Ja dzisiaj na wszelką awanturę byłabym gotowa — (*ciszej*) Bochwic, tyś mię dziś ani razu nie pocałował w usta...

BOCHWIC (*obejmując ją*). A jak będzie „awantura“?

KLARA. To niechaj będzie.

BOCHWIC (*namiętnie*). A jak wezmę przeklinać to światło, tę bliską obecność ludzi? — A jak cię porwę i uniosę stąd?

KLARA (*tuląc się, ledwie słyszalnie*) pozwalam...

BOCHWIC. A jak każę sprowadzić powóz i wymkniemy się bez pożegnania?

KLARA. Pozwalam...

BOCHWIC. Więc będziesz dziś moją? Nie odtrącisz w ostatniej chwili? Nie odepchniesz, jak tyle razy? Klaro (*groźnie*), dzisiaj ze mną igrać nie wolno! Powiedz, że znowu mię zwiedzisz, a zostawię cię i wezmę stąd trzy najpiękniejsze kobiety... Ile zechcę — wezmę i zatarzam się z niemi w rozpuście na śmierć — a tobie i mojej miłości na pohybel!

KLARA. Idę z tobą (*obejmuje go za szyję*).

BOCHWIC. Powiedz, kochasz mię, kochasz naprawdę?

KLARA. Nie pytaj się, nie badaj! Chcę iść z tobą i być twoją dziś jeszcze, tej nocy (*chwilę trwa przepastny uścisk*).

BOCHWIC. Więc chodźmy, zanim nam przeszkodzą... Dam Pi-kule pieniądze, żeby zapłacił, i powiem, żeś nieco zasłała i że muszę cię odwieźć. (*Klara wstaje na pół przytomna. Ukazuje się Mil-ska, Wronska, Hułański i Pięka. Po chwili ze zmiętym gorsem i zapylony Puchowicz.*)

### S C E N A 9.

WRONSKA. Bochwic okrzyczany królem cake-walka! Dwa razy rymnął na podłogę, — ale wziął wszystkich.

(*Muzyka zaczyna grać walca, tego samego co wówczas, gdy Bo-chwic i Klara wypadli na salę*).

BOCHWIC (*do Klary*). Powiemy, że jeszcze raz pójdziemy tańczyć. (*Bierze Klarę w pół i jakgdyby snując dalej poprzedni nastrój upo-lenia kwiatami, wykonywa kilka obrotów. W tej chwili rozchyła się portyera i ukazują się Cieszko i Magda, stroskani i zmieszani; Bo-chwic i Klara nie widzą ich na razie. Magda gorzko i ironicznie patrzy na walcującą parę i z trudnością powstrzymuje swoje wzruszenie*).

### S C E N A 10.

MAGDA. Mówiono nam, że was wszystkich znajdziemy. I widzę — nie mylono się. Nie traćcie czasu —

MILSKA. Magda, coś pani taka blada?

WRONSKA (*z współczuciem*). Czy stało się jakie nieszczęście?

MAGDA. Jeszcze się nie stało, ale wkrótce już pewnie się stanie. (*W tej chwili Bochwic spostrzega Magdę, staje jak wryty, odejmuje ramię od kłbici Klary*).

BOCHWIC. Magda, wy tutaj? Skądęście się wzięli? I wy, Cieszko? Magda, co się stało? Mówcie czempredzej!

(*Milczenie, jakby otręwienie ogólne*).

MAGDA. Wracamy od Wiązowicza. Żona jego wzywała nas. Ma czterdzieści stopni gorączki. W tej chwili odbywa się konsylium... Jeden z lekarzy wyznał mi, że słaba jest nadzieja utrzymania go przy życiu... A przytem środki swoje pieniężne już wyczerpali. Trzeba im dopomódz. Więc z Cieszką razem postanowiliśmy czempredzej odszukać was, Bochwic. Mówi doktor, że ostatnie wstrząśnienie i krwotok spowodowały ten stan okropny.

BOCHWIC (*gwaltownie*). Kruku czarny! Ja swą zbrodnię odpokutowałem, jak mogłem! zniewagę zmazałem ustami swemi! Przeprosiłem Wiązowicza szczerze, i takem go całował w usta, żeby jego choroba na mnie przeszła! Więcej ukorzyć się nie można. Nie przesładujcie mnie, uspokójcie się! Nie czyńcie dramatu z tego, że my tu pijemy. (*Podchodzi ku niej, bierze ją łagodnie za rękę*). No, Magda, zanim pójdziemy ratować Wiązowicza — jeden kielich z nami. Jeden, jedyny! (*Bierze kielich szampana i drugi nalewa Magdzie*). Piję z wami, za wasze zdrowie!

MAGDA (*namysłając się*). Mnie zdrowia nie potrzeba, mam go dość!

BOCHWIC. Więc za zdrowie Wiązowicza!

MAGDA (*z naciskiem*). Wasz szampan zdrowia Wiązowiczowi nie przywrócił (*bierze kielich*).

MAGDA (*zbliżając się ku przodowi sceny, wznosi kielich i trąca się mocno z Bochwicem*). A ja za zdrowie... baletników! (*Nie pijąc, ciska kielich szerokim gestem o ziemię. Brzęk tłukącego się szkła, zamieszanie; wszyscy wstają*).

PIKUŁA (*z współczuciem*). Magdo, zapanujcie nad sobą, nie róbcie skandalu!

BOCHWIC. (*Podchodzi ku Magdzie i patrzy z mocą w jej oczy*). Słuchajcie, Magda, dziś dzień niebezpieczny. Radzę wam nie zaczynać ze mną. To się na nic nie zda. Dziś ja z ukąszeń, choćby najjadowitszych, szydź! słyszycie? szydź!... A jeśli wam to nie wystarcza, to przemówię do was tak, że wnet wasze ironiczne oczy spuścicie (*patrzy na nią wzrokiem magnetyzującym, Magda spuszcza oczy i siada wyczerpana*). Idę do Wiązowicza, tylko (*zacina się*) wprzód odprowadzę Tyniecką. Pikuła, bądź łaskaw zapłacić wszystko. Tu masz pieniądze. (*Zarzuca na ramiona Klarze płaszcz, a potem sam wkłada palto i bierze kapelusz*). Klaro, idziemy! Dowidzenia! (*Skinieniem głowy żegnają wszystkich. Wychodzą*).

MAGDA (*zrywa się gwaltownie*). I w ostatniej chwili jeszcze zatańczył jak prawdziwy baletnik, widzieliście?

HUŁAŃSKI. Ja, co prawda, nie widziałem.... A może wy to inaczej rozumiecie, tajemnicza Sybillo?

MAGDA. Nie widzieliście ostatniego piruetu? Skłamał przecież — skłamał jak doświadczony tancerz — mówił, że jedzie do Wiązowicza, tylko wprzód odwiezie Tyniecką. On nie do Wiązowicza teraz jedzie! Wyczytałam mu to z oczów...

PIKUŁA. Magdo, dalej nie wolno! Teraz ja wam zabraniam!

*(Dzwoni gwałtownie, przeciągle. Zjawia się garson). Płacić! (bardzo głośno, jak gdyby chciał stłumić echo słów Magdy). Proszę o rachunek! Spieszno nam bardzo! (zaczyna się ubierać. Za nim inni. Cieszkę i Magda stoją ponurzy i milczący).*

## Z A S Ł O N A.

CEZARY JELLENTA.



## PRZEGLĄD.

## O SZTUCE I CZŁOWIEKU WIECZNYM — ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO.

Jeśli się wraca do książki, już dość dawno przez krytyków ocenionej, a jak w danym wypadku zachwalanej, to dowód, że posiada ona pewną wartość wewnętrzną lub też stanowi oznakę charakterystyczną czasu.

Książka p. Wasilewskiego jest dzisiaj zrozumialszą, niż przed dwoma laty, kiedy to o niej unisono dytyramby śpiewano. Dzisiaj przybywają jej do towarzystwa prace Jana Gwalberta Pawlikowskiego, Władysława Jabłonowskiego, a wkrótce zapewne przybędą mniej wytrawne, ale więcej za to zadzierzyste popisy pp. Horodyskiego („O syntetycznych trylogiach“, np. czyli o ośmieszaniu się korespondentów krakowskich), Kozickiego („W gajach Akademos“ czyli modlitwa Adolfa Nowaczyńskiego: wybaw mię Boże od moich przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę“) i t. p. Co ci dwaj ostatni powiedzą, dokładnie zawczasu przewidzieć można. Żaden z nich nie odważy się zaintonować inaczej, niż starsza brać z tej plejady, grupującej się dokoła „Słowa Polskiego“ i poniekąd „Gazety Warszawskiej“ — i prawdopodobnie żaden nie potrafiłby inaczej, nawet gdyby chciał. Ich mocna woła ścisłego trzymania się komendy z góry jest tak uderzająca i tak rozrzewniająca, iż można tylko współczuć jej, iż jest zarazem i organiczną niemożnością znalezienia jakichś tonów własnych.

Ale nie uchybia to starszym, mają oni pewną samoistną inteligencję i łatwość konstruowania pomysłów quasi-ideologicznych. Z początku są nawet ciekawi i godni poznania bliższego — dopiero potem, gdy się zbliża rozpaczliwa walka o zachowanie jakiegoś znaczenia w polityce społeczeństwa, naginają swoje poglądy literackie i estetyczne do nieciekawych celów partyjnych i marnują własne swe dzieci ducha.

Tak jest z Z. Wasilewskim, J. G. Pawlikowskim i Wł. Jabłonowskim. Po kolei przyjrzymy się wszystkim trzem, tak jak się wypowiedzieli w ostatnich swych pracach, pozornie tylko literackim i artystycznym problemom poświęconych. Mają oni swe zalety, które trzeba uznać, i swe zdradziecko ukryte plany, które trzeba demaskować. Działają łącznie i solidarnie i czystą a bezinteresowną na pierwszy rzut oka książką przykrywają wilcze doły. Czytelnik nieświadomiony wpada w nie wraz z swym niewielkim rozumem.

Wpada w nie i część opinii literackiej. Niektórzy krytycy, nawet nie pozabawieni subtelności moralnej i społecznej, dają się wziąć na lep wykształcenia i głądzonej formy i nie domyślają się pod nimi dość płaskiej i grubej sofistery i podejrzanej myśli przewodniej.

Książka Wasilewskiego o sztuce i człowieku wiecznym jest jeszcze mało zbrukana celami partyjnemi. Jeśli ją brać samą, oddzielnie od następnych, jak np. „Myśl przebudowy“ — to musi się wydać przeważnie sympatyczną i oryginalną. Sam autor, o ile mi wiadomo, przywiązuje wagę do jej związku z dalszemi. Myślę jednak, iż czyniąc tak, daje się powodować ambicyi kilkutomowych syntez więcej, niż rozsądkowi. Na owem połączeniu bowiem książka traci, jak istota gwałcona i przemocą spychana o kilka szczebli niżej. „Myśl przebudowy“, to już partyjne orędzie narodowej demokracji, materya przykra i przywołująca tysiące brzydkich skojarzeń i wspomnień. Natomiast rozważania o człowieku wiecznym wobec sztuki tchną na wielu stronicach szczerością i nawet zajmującą prostotą, a to wszystko, co je psuje, z czem się zgodzić nie można, co zapowiada jakoby ukryte korzy-tarże wiodące do zdrady — nie gniewa, nie drażni, nie obraża. Może w tem właśnie leży tej książki wielka zręczność.

Ideologia p. Wasilewskiego jest taka: Nie z indywidualizmu, lecz z człowieka wiecznego tworzyć się powinna sztuka. Nie za swego wroga lecz za swoje źródło natchnienia, za swego dostawcę duszy powinien artysta uważać — społeczeństwo. Nie geniusz powinien się narzucać ludowi, lecz z ludu powinien wyrastać organicznie geniusz, jak z narodowej komórki psychicznej. Taką komórkę i jej zasadę odkrył Mickiewicz, mówiąc w swych prelekcjach o człowieku nowym (autor nazywa go „wiecznym“), że „musi się uczuć synem swego narodu, posterunkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków; trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót, jakie naddziadowie nasi nabyli w pocie czoła i w ofiarach krwawych, trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zmienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby, cokolwiek w historii było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas, jako ziarno usiewne, jako żywo t n o ś ć, jako siła“.

W ogólności tym pionem, którym się posługuje p. Wasilewski, układając swoje cechy, jest ideeowość i osoba Mickiewicza. On to wyobrażał człowieka całkowitego, pełnego, był „wzorem doskonale zbudowanej, kompletnej, na wysoki ton nastrojonej polskiej duszy nowożytnej“. On pierwszy pokazał, jak wygląda samowiedza narodowa i uświadomione sumienie narodowe. Jego człowiek wieczny, to człowiek etyczny, zdolny do czynu; według Mickiewicza jedynie syntetycznem jest działanie. On przebył najwspanialszą ewolucyę: od słownych wybuchów rokoszu, do ofiary z życia. Od improwizacyi prometeicznego buntu do czynu życiowego. On dokazał tego, czego dokazać nie byli w stanie ani Krasiński, ani Słowacki, zanadto mistrze słowa i zanadto artyści swojej osobowości. Mickiewicz nie do Mon-



salwatu dąży, lecz do Golgoty; nie samotnikiem jest, lecz bohaterem woli i czynu, nie tylko zatracca swoje ja, lecz o niem wprost zapomina. Mickiewicz tak całkowicie pokrywający się z narodem, może być dlań legendą, Słowacki — nie, i dlatego przenosić popioły Słowackiego tam, gdzie spoczyły prochy Mickiewicza, znaczyłoby pozbawić Wawel znaczenia narodowego, a uczynić go podobnym do Westminsteru.

Ażeby należycie uzmysłowić swoje pojmowanie ludu jako współtwórcy poezji, Wasilewski w pierwszym rozdziale swej książki snuje uwagi bystre i głęboko trafne o głodzie bajki u ludu, o różnicy między poezją faktów bezosobistą, a taką opowieścią, w której przeważają intencje indywidualistyczne i subiektywne autora. W rozdziale tym mile uderza poczucie życia, przyjmujące bez dąsów i zgryźliwości doktrynerskiej wszystkie nowe przejawy wrażliwości estetyczno-moralnej ludu: Zamiłowanie do Conan Doyle'a, wszelakich cudowności, nadzwyczajności i egzotyizmu, przepadanie za kinematografem. Wszędzie tutaj autor odczuwa żywą miążgę społeczeństwa, duszę zbiorową z jej tak charakterystycznymi upodobaniami i prawami, rozumie jej socyologiczne samoistnienie, błąd krytykowania jej ze stanowiska książki, papierowości i intelektualizmu, śmieszność traktowania jej z góry, gdy właściwie „niema życia poza społeczeństwem“.

W innym znów rozdziale „Spór o człowieka“ wypowiada swoje odczuwanie demokratyzmu i narodowej powszechności przez polemikę z teoryjami człowieka niepospolitego lub mistycznie upoważnionego do prorokowania. Przypuszczam, że tutaj używa nazwisk prof. Lutosławskiego i p. Stanisława Pieńkowskiego, retora rasowości, tylko jako podpórek dla swego wywodu. Na seryo bowiem ani jednego ani drugiego w tak doniosłej sprawie brać nie można. P. Lutosławski, tęgi znawca Platona, nie zasługuje na wiarę, ilekroć fantazyjuje na temat ducha świętego i sposobów zdobycia potęgi psychicznej; p. Pieńkowski, doskonały poeta, tem doskonalszy, że bardzo skąpy, i nieraz szczęśliwy krytyk malarski, jest w przeciwstawieniu do tamtego, *homo unius libri*, przytem trochę Szymon Słupnik, wysnuwa z zapatrzenia się w próżnię swój gwałt o rasę i komponuje pomysły społeczne, wobec których aeroplan Rozłuckiego z „Urody życia“ lub kasetka Dana w „Róży“ Katerli, są szczytem trzeźwości, pozytywnej rachuby, kupieckiej dokładności, realizmu etc.

Jakkolwiek bądź, p. Wasilewski swój punkt widzenia oparcia sztuki na duszy zbiorowej, a więc i na duszy pełnej i zdolnej do czynu, przeprowadził pięknie. Posiada on poczucie normalności i zdrowia całokształtu, odróżnia świetnie sztukę ekstrawagancyi od sztuki syntetycznej, obejmującej widnokraj ducha całkowicie: „Nic na to nie poradzą doktryny filozoficzne, ani przeświadczenia okresów schyłkowych, przeciwstawiające życiu rozlewnemu rozkosz partykularną myśli czy artyzmu, jako syntezę ducha. Życie ogarnie wszystko, co czasowe i szczególne, podmyje prądami instyktów żywotnych, stonuje światłem ogólniejszych i trwalszych ideałów swoich, które

dażą wciąż do syntezy człowieka kompletnego, idącego na czele z oryflamą samowiedzy zhiorowej nad głową“.

W tych słowach jest największa z obietnic, danych przez autora czytelnikowi polskiemu i najszersze zobowiązanie. Na nich wolno i trzeba budować wnioski, że jest pisarzem szerokim, że w „człowieku wiecznym“ tkwi i człowiek powszechny — ludzkość cała, że postulując w ten sposób pomnikową miarę ocen poetyckich, potrafi uznać i wszelkie ogólnoludzkie żywioły w poezji, wznieść się np. chociażby do idei „sejmu powszechnego“, tego samego ubóstwianego Mickiewicza.

I tem więcej liczyćby można na taki daleki promień jego sztuki i wieczności, że w wykładzie swym nigdy nie staje się ani sekciarzem ani fanatykiem. Rozumuje spokojnie, pisze z tym najlepszym talentem literackim, co to dochodzi do zapału lub zachwytu stopniowo, drogą naturalnego szczeblowania od nagiej ziemi w zwyz. Mowa p. Wasilewskiego jest rzeczowa, wyrazista i zrównoważona. Dla wywyższenia jednego, nie poniża innych. Odsuwając Słowackiego poza turniej tworzenia świętości narodowej, nie tylko, że mu w niczem nie uchybia, ale ma dla właściwości jego ducha określenia inteligentne i piękne.

Ale obietnice owe gorzki w końcu przynoszą zawód.

Ażeby oczyścić grunt dla tworzywa demokratyczno-psychicznego, p. Wasilewski — uprzęta przedewszystkiem... prometeizm; zarówno ten, co się wyraził w „Improwizacji“ Mickiewicza, jak i wszelką wogóle prometejskość. Jakże to? ona powinna była właśnie jak najwięcej przemówić do serca, jak najskuteczniej pomódz autorowi do jego koncepcji? Jako siła, życie, symbol zbiorowości, poświęcenia dla rodu ludzkiego, walki ze złem, niepodległości wobec mocy samolubnych i szkodliwych? Nie — p. Wasilewski wycisnął sobie Prometeusza na jakiegoś pesymistę, cierpiętnika, żółciowego indywidualistę. Widocznie o prometeizmie dowiedział się z ostatniej ręki, od p. Artura Górskiego, z którym głównie się pora. Pan Górski napisał takąż samą, jak p. Wasilewski, piękną książkę na niemocnych nogach, lecz w duchu przeciwnym, uwydatniając w Mickiewiczu subiektywne bohaterstwo ducha, jego Monsalwat, — książkę, natchnioną przez złe zrozumienie Wagnera. Pan Wasilewski przeto utracą przedewszystkiem Improwizację — jako bezprzedmiotowe, czcze, subiektywne poczucie mocy. Nie biorę mu tego za złe, gdyż Improwizacja, jako właśnie taka, rzeczywiście jest raczej dorywczo-eruptywnym snem o potędze, hymnem wspaniałym, ale więcej krasomówczym lub nastrojowym, niż monumentalnie dojrzałym. Ważniejsze jednak, że p. Wasilewski prometeizm widzi jedynie w szarpanych wnętrznościach, i do niego właśnie wybornie się stosuje to, co współszermierz, pan Pawlikowski, nieopatrznie rzuca w twarz przeciwnikom: że prometeizm widzą w oboleniu wątroby.

Jeślioby chodziło o moją skromną osobę, która podobno coś u nas dla uświadomienia idei prometejskiej uczyniła, to zarówno w książce na ten temat przed laty kilkunastu napisanej, najwyraźniej przeciwstawiłem pro-

meteizm pesymizmowi, jak i w latach ostatnich w swej propagandzie „neoprometeizmu“ w Krakowie i Lwowie, wysuwałem czynnik rozlewnego życia na miejsce poezji śmierci i sztuki roślinnie bezmocnej; neoprometeistami nazywałem koryfeuszów filozofii i sztuki dzisiejszej, wywodzących się z ekspansji żywotności.

Pan Wasilewski utożsamiając prometeizm z pesymizmem lub egotyzmem walczy ze skleconym przez siebie samego straszakiem. I byłoby to zupełnie niezrozumiałem, gdyby nie jeden dobitny fakt: p. Wasilewski nie znosi w prometeizmie... samodzielności. Razi go jego brak dyscypliny, posłuszeństwa, powiedzmy szczerze, rozkazom partii. Zbrodnią Prometeusza jest bezpartyjność i niezawisłość. Tego nie lubi i to tropi na wszelki sposób grupa, do której należy p. Wasilewski. Stąd taka nadzwyczajna zgodność wywodów między nim a p. Pawlikowskim, stąd pochwały dla szydzącego z prometeizmu p. Nowaczyńskiego, który jest dość sprytnym, ażeby do partii nie należeć, ale korzystać z jej prerogatyw.

Walka z prometeizmem, to hasło niby ideologiczne narodowej demokracji, rozbrzmiewające na tysiące sposobów i tonów, przechodzące wreszcie w żargon partii. Ponieważ prometeistą jest Nietzsche, przeto umysłowość nasza nie powinna z lekkim sercem powtarzać nieprzeżytych teorii niemieckich o wyższości ludzi, skłóconych ze społeczeństwem, mówi p. Wasilewski. Chętnie by sobie pozwolił na jeden krok dalej i powiedziałby, że Prometeusz był... żydem. Wprawdzie w swych „Narodzinach tragedii“ Nietzsche świetnie przeciwstawia aryjskość mytu prometejskiego, nacechowanego odwagą i otwartością, mytowi semickiemu o grzechu pierworodnym, opartemu na skrytości i uwodzeniu przez węża, ale gdyby nawet p. Wasilewski o tem wiedział, zadałby kłam Nietzschemu, jako również wyklętemu przez partię i zapewne podejrzanemu o semickość, a natomiast uznałby Adama i Ewę za członków narodowej demokracji, przywróconych do czci dla swej pokory i uległości mieczowi ognistemu prezesa narodowego rajy.

Swą domieszkę polityczną do recenzji czysto literackiej czynię tedy *à contre coeur*, nie z politycznego maniactwa, które mi jest wstrętnem, lecz właśnie dlatego, że do tego zmusza ukryte żądło partyjne w książce Wasilewskiego, że ono wypacza fakty i zozydza najdosłojniejszy mit, który bezwiednie a dziś może i samowiednie dusza polska czci jako jedną z swych gwiazd przewodnich. Jest to nawet coś więcej, niż paczenie faktów, to odwracanie ich do góry nogami: gdyby prometeizm był słabością, „kamieniem ludzi topiących się, a nie skrzydłami ludzi wysokich“ (Słowacki), autor poklepałby go życzliwie po ramieniu. Ale że jest mocą, nieuległą i nieulekłą, przeto jest w partii złe widzianym.

Za tem uchybieniem prawdziwie idą inne. Wasilewski mówi wiele o czynie, o zdolności do niego, jako o szczycie syntezy człowieka i poezji. Następują się przeto dwa pytania: czy istnieje większy i płodniejszy czyn i praca twórcza, niż w dziele Prometeusza? Oraz, czy nie przeciw czynowi to

we wszelkich jego postaciach energiczniejszych i autonomiczniejszych, skierowane jest całe ostrze działalności publicystycznej Wasilewskiego?

Dalej; chwając w Mickiewiczu li człowieka czynu, a odrzucając fazę obrazoburczą w jego życiu, Wasilewski popełnia co najmniej... lekkomyślność. Gdyby nie idea zrzucenia jarzma u twórcy „Dziadów”, nie byłoby i próby zrzucenia jarzma. Czyn Mickiewicza ideologicznie i teoretycznie tkwił już w jego miotaniach się przeciw Bogu.

I co do Słowackiego, zaplątał się w sofizmatkach. Odmawiając mu, aczkolwiek w formie pięknej i pełnej pietyzmu, znaczenia dla rzeczywistości narodu, na podziw zapomina, że Słowacki może najwięcej przyczynił się do zorganizowania tej piękności narodu, o której autor sam tak umiejętnie mówi, że tem samem był jednym z wzorów kultury duchowej i artystycznej. Ale że był rewolucjonistą ducha, że szczególnie wybujałą świadomością autonomii spraw duchowych, przeto znowu winien być potępionym.

Tak samo musiałby być potępionym przez swój naród Rafael lub Leonardo da Vinci, Dante lub Petrarca, gdyż byli tylko rewelatorami, kształtowali ducha swej społeczności, dawali mu skarb genialności, rozumiały tylko dla wybranych — a nie tworzyli dla kinematografu. Gdyby p. Wasilewski chwilę bodaj pomyślał o sztuce, natenczas cała jego wyprawa przeciw geniuszowi, narzucającemu się narodowi z góry, okazałaby się poronioną. Jakoż tak poniekąd jest; Wasilewski co innego mówi w książce, a co innego zapowiedział w tytule. Mówi on mianowicie tylko o poezji, o sztuce milczy. Wobec sztuki byłoby nieuniknione: *hic Rhodus, hic salta*. Jest to znowuż nie spełniona obietnica — tym razem najważniejsza. To nawet — niewypłacalność.

Zobaczymy w dalszym ciągu, gdy kolej przyjdzie na innych estetyków z pod tego samego znaku — takie same nadużycia uogólnień i odwracanie wszelkich prawd — dla małych celów, takie samo zabrzędzanie własnej urody przez uniform partyjny, znieprawianie własnych książek przez kłam i sofizmat. Ale najwięcej szkoda na to zdolności literackich Zygmunta Wasilewskiego.

CEZARY JELLENTA.

DR. A. HEILPERN: „PRZYCZYNNKI DO PSYCHOLOGII TWÓRCZOŚCI“.

*Die Wissenschaft des Nicht-Wissenswerten* nazwał L. Hatvany filologię, starając się obniżyć jej wartość w błyskotliwych, lecz podstawy nie pozabawionych, choć czasem zbyt daleko idących wywodach. I jakkolwiek nie zgodzimy się na jego ocenę Wilamowitza, zestawienie D. Straussa z Nietzschem, to przyznać musimy mu rację, że przeżyła się filologiczna, to znaczy na gruntownych badaniach źródeł oparta krytyka literacka, która swej wiedzy starała się zapewnić pewien rodzaj przyrodniczej wierności i obiektywnej przedmiotowości. Przeżyła się i straciła dużo na wartości, bo zgubiła swój właściwy cel z oczu i rozlała się w obszerne, swą płytkością rozmiesza-

jące stawisko badań, porównywających różne rzeczy w celu wydobycia paralel.

Przeciw tej wszechwładzy litery zwrócił się prąd, który na podstawie życia i charakteru poetów starał się zrozumieć charakter i powstanie ich dzieł, krytykę filologiczną zostawiając na boku. Tak zrodziła się metoda biograficzna, która, w założeniu dobra, nie wydała przecież tych owoców, jakich się po niej spodziewano. Jak poprzednio tak i tutaj przesadzono w wyciąganiu z tych samych przesłanek różnych, czasem wręcz sprzecznych ze sobą wniosków. Przypomnę tylko z naszego gruntu rozprawy poświęcone liryce Kochanowskiego, w Niemczech zaś interpretacje minesingerów, sparodyowane dowcipnie a złośliwie przez R. M. Meyera, który wywodząc „ze źródeł” na podstawie wiersza:

„Um Mitternacht ging ich, nicht eben gerne,  
Klein, kleiner Knabe, jenen Kirchhof hin  
Zu Vaters Haus, des Pfarrers; Stern am Sterne  
Sie leuchteten doch alle gar zu schön,

Um Mitternacht“.

(Goethe. Dzieła I. 54. Lipsk. Inst. bibl.)

„dowiódł“, że ojciec twórcy „Fausta“ był pastorem!

Tak więc, nie odrzucając rezultatów dodatnich, wydobytych przy pomocy metod poprzednich, należy stwierdzić konieczność nowej, któraby nie polegała na paralele, nie starała się zbyt ściśle oznaczać nieznanych szczegółów zewnętrznego życia twórców na podstawie ich utworów. Musimy sięgnąć do głębi i nauczyć się traktować proces twórczy tak samo, jak każde realne zdarzenie: nie szukać, jakie i skąd wzięto motywy, u kogo się powtarzają, lecz wykazać prawa ich połączeń.

Czas najwyższy zrozumieć, że prawdziwe wartości nie w tem są zawarte, co jest wynikiem zewnętrznych warunków twórcy, lecz w tem, co w nim jest wszechludzkie, czyli inaczej mówiąc, oderwane od czasu, „bezczesne“. Dopóki w lirykach n. p. będziemy szukali rzeczy zewnętrznych, dopóki nie wpojmy w siebie, że sztuka i „życie ukształtowane“ to rzeczy wręcz identyczne, które z nieubłaganą koniecznością wypływają z najtajniejszych głębin twórcy, dopóty będziemy się błąkać po manowcach.

Dzisiaj nie wystarczy powołać się na oklepany komunał o własnowolności wyobraźni twórczej, bo i ona ma swoje prawa, których poznanie może ułatwić zdanie sobie sprawy z całego procesu twórczego. Podstawy do tego już dane, że wymienię tylko Dilthey'a studyum o wyobraźni poetyckiej i Ribot'a *L'imagination créatrice*. Teraz jednak, gdy to wszystko jeszcze *in statu nascendi*, trudno stawiać horoskopy na przyszłość, warto przecież obejrzeć się poza siebie i ogarnąć przebytą drogę. Ta myśl sprawdzenia zdobytych wniosków zapewne kierowała p. Heilpernem przy pisaniu „Przyczynków do psychologii twórczości“.

Są one najlepszym dowodem budzącego się u nas z uspienia ruchu na polu badań estetycznych, objawem wielce obiecującym i rokującym dużo nadziei na przyszłość. Ujmuje nas ta książka swoją prostotą i niewymuszonością, swoim zstąpieniem do czytelnika, od którego nie odgradza się murem zbyt ścisłych filozoficznych dociekań; z drugiej strony zjednywa łątwem bogactwem myśli, które po prostu biją się ze sobą, wydzierając sobie wzajemnie miejsce, i trafnie przytoczonych wyznań i przykładów z samoanalizy i życia znakomych twórców, wreszcie swobodnem i przemyślanem orientowaniem się w ich duszach. Stąd też zapewne i to, że wiele ciekawych i conajmniej równie interesujących problemów, np. erotyczny, autor pominął lub mniej ściśle przedstawił. Nieco umniejsza to wartość *Przyczynków*, których nadmiar treści nie pozwala nam poruszyć szerzej omówionych w nich zagadnień. Nie pozostaje, jak podkreślić bardzo trafne i w konsekwencyach bogate w korzyści twierdzenie autora, że główną pobudką twórczości, jest tęsknota za życiem pełniejszym, za nową formą życia, obok bólu, który uważa za niemniej ważny czynnik w powstawaniu nowych dzieł. Z analizą prawa podobieństwa i różnorodności, które uznaje za podstawowe, łączy autor swoje poglądy na indywidualizm. Przekonywającym jest wywód, iż akt twórczy jest nie tylko preformacyjnym, lecz także wyzwoliny, ekspiacyą, oczyszczeniem z przeżyć, dręczących twórcę. Niemniej trafnem jest twierdzenie, że indywidualizm silny posiada w sobie coś z pierwiastku wiary, — dodajmy odrazu „wiary w siebie“. Stąd niedaleka droga do problemu egoizmu, a także samotności, najciekawszego może, jaki zna psychologia twórczości.

Jednem z wyznań Goethego stwierdza p. Heilpern, że w wielkich twórcach spleta się indywidualizm (czytaj: subiektywizm) z obiektywizmem, którego zdobycie za cenę wielkiego trudu sownicie opłaca się artyście, gdyż daje mu w nagrodę rozszerzenie własnej jego indywidualności i wszechstronność, jakiej obrazem Leonardo da Vinci i Goethe.

Trudno iść krok w krok za autorem, aby wykazać, ile ma słuszności, gdy pisze o znaczeniu sugestyi w twórczości, lub dowodzi, że zadaniem twórcy prawdziwego jest wyzwolenie się z pod sugestyi innych, zaś drogą do zdobycia nowego wytęsknionego życia walka odważna i nieustraszona.

Warto jednakże zwrócić ostatnie spojrzenie na analizę świadomości i intuicji w procesie twórczym; temat, dziś szczególnie ciekawy i na czasie, autor przedstawił jasno a w pewnych szczegółach nawet wyczerpująco. Ostateczne wyniki, do których dochodzi, są, że pomysł dzieła jest wnioskiem intuicyjnym, wykonanie zaś jego odbywa się przy współdziałaniu krytyki, że intuicji brak refleksyi myślowej, ale nie może jej braknąć uświadomienia stanu uczuciowego i związku z nim wyrazu.

Oto zasadnicze problemy poruszone w jasnej, tchnącej świeżością, książce p. Heilperna. Zasługą jego jest, iż wypowiedział szczerze i śmiało wiele prawd, zazwyczaj pokrywanych obłudą i wypaczanych naiwnością i prosta-

ctwem poglądu na psychę twórczą. W ogólności trzeba autorowi zapisać na dobro, że wstąpił odważnie na pole, u nas odłogiem jeszcze leżące.

W końcu apostrofa do wydawców (Polskie Tow. Nakład. Lwów), że zamiast 14 stron katalogu wydawnictw trzeba było raczej dać wykaz osobowy i rzeczowy, którego brak daje się dotkliwie odczuwać.

*STANISŁAW SERWIN.*



## SYGNAŁY.

## PAN JOWIALSKI.

(ZAMIAST FAMY).

„Trudno, by leo  
Żył się idea.“

## SCENA I.

*(Rondo na plantach pod Grażyną. Wieczór. Zjawia się Kołtun krakowski, figura nieosobliwa, coś pośredniego między szewcem i radcą sądownym, słowem: skoncentrowany demokrata.)*

**KOŁTUN:** Weselcie się mieszkańcy Wielkiego Krakowa:

Dzisiaj otwarta nowa linia tramwajowa,  
Dasz brachu osiem centów, dwa dla konduktora,  
To od trzeciego mostu do Monsalwatora  
Jedziesz sobie po pańsku. Nima co, Europa!  
*(Zegar wawelski bije ósmą.)*

Ósma! Czas iść na bombę z pod świeżego czopa  
Bractwo już pewno żłopie, bo jak mówi Wasung  
Dobry trunk na frasunk.

A jest się czem frasować; w kraju, panie, bieda  
I choć masz siódmą rangę, bank ci centa nie da,  
Ze to przed wojną. Więc gdyś pensyę zjadł, nieboże,  
Chyba ci Mossakowski lub Bazes pomoże.

*(Z przeciwnej strony nadchodzi Pan Proteusz Jowialski, który słyszał ostatnie słowa.)*

**PAN JOWIALSKI:** Z Bazesem w żadne nie wchodzi interesu  
By nie wystrychnął Cię na Marguliesu.

**KOŁTUN:** A to pan, panie dzieju? Pewno od Saueru?  
Tam się, słyszałem, giełda artystyczna zbiera.  
Siedzi se jeden z drugim w dymie i zaduchu  
I rozprawia o sztuce, aż mu dudni w brzuchu.  
Nie dziwota, że dudni, gdy w kieszeni pustki  
Lecz nic to, w górę nosy! Zapłaci dwie szóstki,



Taki pan, wraz z napiwkami, i siedzi bez końca  
 Od południa niekiedy, aż do wschodu słońca.  
 I samo światło więcej, niż on wart, kosztuje,  
 Zobaczysz pan, ten Sauer wkrótce zbankrutuje,  
 Raz, gdy po polowaniu kupował zajaca  
 U Hawelki, sam mówił...

PAN JOWIALSKI: Niech się pan nie wtrąca,  
 Pamiętaj, co mówiła Piastowi Rzepicha:  
 Nie wtykaj kwiatka  
 Do cudzego z....,

Zegnam oziębłe.

GŁOS: Cho... Choć...

KOŁTUN: A tam co u licha?

*(Obaj teraz dopiero spostrzegają leżącego na jednej z ławek człowieka, który budzi się z głębokiego snu alkoholicznego. Jest to, jak się okazuje, prezydent miasta.)*

LEO: Choć nie jest żydem,  
 Zwie się Bujwidem.

KOŁTUN: Ktoś tu leży, dopiero terazem zobaczył.  
 Wielki Boże! Prezydent! A to się uraczył!

LEO: Słusznie powiedział Zelechowski Kasper:  
 Gęś pije wodę, człek Spiritus asper.

KOŁTUN: Musieli go tak ruscy upoić postowie.  
 Nima co, idę zaraz wezwać pogotowie.

*(Wybiega — nadchodzą Rydwaniarze.)*

PAN JOWIALSKI: Patrzcie, oto pijaństwa sprośnego są skutki;  
 Taki trzeźwy polityk, padł ofiarą wódki,  
 Człek stateczny, szanowny, kiedy przebrał miarę  
 I dał zły przykład, słuszną winien ponieść karę.  
 Mam myśl: niech Herbaczewski biegnie i rozpowie,  
 Że pan minister Leo zjawił się w Krakowie.  
 A my ubierzmy gościa w mundur jaki taki,  
 Wsadźmy na głowę piróg, sami wleźmy w krzaki  
 I obserwujmy wszystko, co się będzie działo.

WSZYSCY: Ha ha ha! Biedny Leo, a to go dostało!

## SCENA II.

*(Leo ubrany w mundur i piróg, drzemie w pozycji siedzącej; w krzakach Pan Jowiański z towarzyszymi. — Wchodzi para miłosna i zajmuje ławkę sąsiednią.)*

ON: Przysuń się do mnie bliżej, mój aniele,  
 O tak!

ONA: Mój panie! To zanadto śmieie!

Ręce przy sobie! Wszystkie mi guziczki  
Oderwie!

ON: Luba, obiem rękawiczki

Zgubił w pośpiechu, ręce mi skostniały,  
Daj, by przy Tobie nieco się zagrzały.

*(Nadbiega kołtun pierwszy z drugim.)*

ONA: Mój mąż! Skryć się zapóźno... Ach, rozpacz mnie bierze,

Jutro zaraz dam na mszę, jeśli nie spostrzeże.

KOŁTUN: Jak dobrze, zem przez miasto szedł, a nie przez planty,

I że Ciebie spotkałem, panie Kalasanty.

Byłby skandal, jakiego Kraków nie pamięta,

Gdyby na pogotowie wzięto prezydenta.

Nie przyszło mi to na myśl, ale nic dziwnego:

Zgłupiałem, zobaczywszy go tak wstawionego.

KOŁTUN DRUGI: Wsadzimy go w dorożkę i jazda do domu

I ani słówka o tem nie piśniem nikomu.

KOŁTUN PIERWSZY: Patrzno pan, jakaś para; może go poznali?

Wybaczcie moi państwo, żeśmy wam przerwali. —

Psiakrew! to moja żona tutaj romansuje!

Mój panie! Drapnął szelma. Już ja mu zrachuję

Kości! Mój Kalasanty, łapaj tego draba.

Kto to jest?

ONA: Kto jest, to jest.

KOŁTUN: O przekłeta baba!

I ktoby się spodziewał!

PAN JOWIALSKI *(z ukrycia)*: Na świętego Flacha

Spodziewaj się w domu gacha.

KOŁTUN: Na Boga, jacyś ludzie! Zostałem shanbiony!

PAN JOWIALSKI: Dobrze ci tak, pilnuj żony.

*(Słoro tamci uciekli, Pan Jowiański z towarzyszami wychodzi z ukrycia i budzi śpiącego.)*

### SCENA III.

PAN JOWIALSKI: Ekscelecycyo...

LEO: Któż pan jest?

PAN JOWIALSKI: Sługa twój pokorny.

Przed chwilą przeczytałem właśnie „Czas“ wieczorny,

Pozwól, panie ministrze, złożyć ci życzenia.

LEO: Tak? Ja nic nie wiedziałem.

PAN JOWIALSKI:

To rzeczy nie zmienia,

I owszem, nowym blaskiem zdobi się skroń tego,

Kto bez wiedzy i starań urzędu wielkiego

Dostał, samą tylko pracą i zasługą.  
 Cały Kraków się cieszy, przyjdą tu niedługo  
 Z powinnym hołdem wszystkich stanów deputacye.  
*(Wpada Jan Barbakanty, prezydent Izby Handlowej.)*

BARBAKANTY: Wreszcie, kochany Julu. Moje gratulacje!  
 A tom się zdyszał; pędzę, ile starczą nogi  
 Tajnem przejściem podziemnem (pamiętasz, mój drogi,  
 Wtedy, w czasie wyborów, przez moje piwnice?)  
 I jestem; pozwól, niech ci ucałuję lice.  
 Cóżś tak nagle spyszniał?

LEO: Znaj uszanowanie.

Leokantyzm się skończył, wiedz o tem mosanie.

BARBAKANTY: A, rozumiem, publicznie ty musisz być sztywny,  
 Niech i tak będzie. Powiedz: kiedy to się stało?  
 Siedzę w sklepie, wtem słyszę hałas jakiś dziwny;  
 Wychodzę na ulicę, a tam się zebrało  
 Grono ludzi i słucha, co im opowiada  
 Jakiś kudłacz: że spotkał nas zaszczyt nielada,  
 Że rząd, ażeby ciebie wreszcie mieć w swem łonie,  
 Nową tekę, sztuk pięknych, stworzył. Mój Leonie,  
 Teraz ty ponapędzasz tych konserwatorów,  
 Tych obrońców Sukiennic, Rynku, Krzysztoforów,  
 I baszty Kościuszkowskiej. A tego narwańca,  
 Ignaca Daszyńskiego, c. i k. powstańca,  
 Każ zamknąć, bo on gotów nawarzyć nam piwa.  
 Słyszał to kto? Toż jemu Polski się zachciewa.  
 Musisz także porządek zrobić z Tetmajorem,  
 Któremu się chce gwałtem zostać dyktatorem.

LEO: Każę te sprawy zbadać; co mogę, to zrobię.

PAN JOWIALSKI: Obiecał Morsztyn  
 Siedleckiemu — Czorsztyn.

*(Wchodzi deputacya rady miejskiej z radcą Miedniakiem na czele).*

#### SCENA IV.

MIEDNIAK: Przedstawiciele Rady, kłaniają się Tobie,  
 Ekscelencyo. To jest tak, panie dobrodziejski,  
 Że tak powiem ten tego, ja tu radny miejski,  
 Panie dziu demokrata, więc kiedy tak padło,  
 Niech żyje setne lata tak dobrane stadło.  
 Tfu! chciałem co innego, a do kroćset kiszek,  
 Niech żyje pan minister, piję ten kieliszek!  
 Nie! właściwie ten tego co chciałem powiedzieć?  
 Aha! gdy na tym stolcu panu dobrze siedzieć,

Niech błogosławi Noe, patron nasz, szynkarzy,  
 I niech się panu wszystko panie tego darzy.  
 Widzisz pan nas tu, samych dobrych Krakowiaków,  
 Mnie, pańdziu; Bandrowskiego, obydwu Nowaków,  
 Zaraz tyż Sare z Szarskim przyjdą witać ciebie,  
 Ino wprzódy kontusze przywdzieją na siebie,  
 Bo to, panie, słachcice. Więc panie dziu dzieju  
 Wiwat nasz najjaśniejszy... psiakrew, pełną kleju  
 Mam gębę i ten tego chciałbym a nie mogę.  
 Aha, już wiem: więc tedy idąc w nową drogę,  
 Trzymaj w swojej opiece nadal Wielki Kraków,  
 Przyłącz do nas Podgórze, Wieliczkę i Maków,  
 Broń Boże bez Chrzanowa, bo i tak dość mamy  
 Żydów i niewiadomo, jak im rady damy.  
 Spraw, niechaj będzie święta między nami zgoda  
 I niech Kusobuckiemu Wolny rękę poda.  
 A tak tedy do końca zmierzając nareście,  
 Cieszymy się, że minister bawi w naszym mieście.  
 Niech żyje Ekscelencya! Daj jej Boże zdrowie!

WSZYSCY: Wiwat, wiwat, niech żyje!

LEO: Dzięki wam panowie.

Dr. ERNEST BANDROWSKI:

I ja, panie ministrze, krótkie powiem słowo:  
 Oświatą i przemysłem społeczeństwa stoją,  
 Weź przeto ekscelencyo pod opiekę swoją  
 Kinoteatr T. S. L. i Szkołę przemysłową.

JULIAN NOWAK: Ja zaś pokorną prośbę pod twe stopy kładę,  
 Wróć nam, błagamy ciebie, Artystyczną Radę.  
 Bo chociaż Weiss co sezon nowy nam się rodzi,  
 Cała krakowska „Sztuka“ zwolna na psy schodzi  
 I dziś już oprócz Wandalina Beringera  
 Gada o tem Mycielski nawet i Kopera,  
 Którzy artystycznego tyle mają zmysłu,  
 Co Ostrowski, mistrz dobrych manier i przemysłu.  
 Trzebaby coś obmyśleć, zanim się we Lwowie  
 Zaczną z nas naigrawać.

LEO: Szanowni panowie,

W rzeczach tak małej wagi gotów jestem zawsze  
 Okazywać oblicze Wam jaknajłaskawsze.  
 Zacznijmy od malarstwa. Co też według pana  
 Złego się dzieje?

JULIAN NOWAK: Wnoszę skargę na Hofmana.

Vlastimil Hofman nie mało napsocił:

Naprzód Pronaszkę Zbyszka zdonkiszocił,  
 Potem Herbacza dziwnie wypoecił,  
 Procajłowicza szpetnie ohamlecił.  
 A Kleczkowskiego, choć to jego pono  
 Przyjaciel, dwakroć zbłąźnił na czerwono.  
 Nie wiele brakło, byłby z Marguliesą,  
 Naprawdę zrobił Mefistofelesa  
 I nawet Świątka chciał usalmonować,  
 Lecz ten się jakoś umiał wyblagować.  
 Wreszcie, o zgrozo, młodego małżonka  
 Ucharakteryzował na jelonka,  
 Nadto Jellentę — to już nie przelewki —  
 Skusił pozować obok gołej dziewczki.  
 Ale tem ludzie giną, czem wojują:  
 Już Pronaszkowie pendzle nań szykują.

PAN JOWIALSKI: Zaiste, są to grzechy niepoślednie zgoła,  
 Ale racz, panie, zwrócić uwagę na jedno:  
 Że kto do ideału Michała Anioła  
 Chce dojść, ten przez dantejskich piekieł wprzód bezedno  
 Przejsć musi, więc niekiedy może i pobłądzić.  
 Ty jednak, panie, nie daj krzywdy mu wyrządzić,  
 Ale jak twój imiennik, papież Juliusz drugi,  
 Czczył Michała Anioła geniusz i zasługi,  
 Tak ty wobec naszego Buonarottiego  
 Postąp wspaniałomyślnie.

LEO: Uwalniam winnego.

Cóż tam dalej?

JULIAN NOWAK: O! długo wyliczać by trzeba.  
 Malarze architektów chcą pozbawić chleba.  
 Rzec w dziejach sztuki dotąd jeszcze niesłychana,  
 Urządzili wystawę pod Parkiem Jordana.  
 Nawet zbankrutowali. Tak się rozswawolił  
 Cech malarski, tak Warchał wszystkich rozwarcholił,  
 Maszkowski rozhuculił, że i Dunikowski,  
 Zmienił dłuto na pędzel, pragnąc żyć bez troski.  
 I chce być pedagogiem (bo Fonsio Karpiński  
 Musiał zaprzestać lekcyi u Pani Kaplińskiej,  
 Jak również w Baraneum, bo już damom miły  
 Jego pędzel swej dawnej nie posiada siły).  
 Wśród uczniów Akademii dzieje się nie lepiej:  
 Jakiś Basler z Paryża na gwałt wszystkim szczepi  
 Kubizm, którego on jest komiwojazerem.

Grozi, że nowej w Polsce sztuki akuszerem  
Będzie.

LEO: Wszystkie te sprawy Artystyczna Rada  
Rozsądzi wkrótce. Do niej powołać wypada  
Kogoś z panów malarzy. Kogoby takiego?

Dr. ERNEST BANDROWSKI:

Chyba najlepiej będzie wziąć Wodzinowskiego,  
Który, jak dowiódł Stasiak przed niedawnym czasem,  
Słusznie może być nazwan polskim Skotopasem.\*)

LEO: Lecz on prezesem jest Sokoła podgórskiego,  
Więc trzeba wziąć w takim razie i Turskiego.  
Ja proponuję Krzesza; kto mi zda relacye  
Jakie jego malarskie są kwalifikacye?

PAN JOWIALSKI: Nikt chyba głębiej od Prokesza  
Mendziny nie odczuje Krzesza.

LEO: Niech pisze; gdy referat jego mi się przyda,  
Czernecki mu go jako monografię wyda.  
To byłby jeden członek, lecz nie koniec na tem.  
Proszę, niech kto wystąpi z jakim kandydatem.

Dr. ERNEST BANDROWSKI:

Procajłowicza mogę poprzeć najgoręcej.

LEO: Coś już o nim słyszałem, radbym wiedzieć więcej.

PAN JOWIALSKI:

Procaj Leowicz, malarz magistracki,  
Więc mało polski — dużo więcej tracki;

A jak dziś Kraków, tak lud ongi Traków,  
Po całym świecie słynął z popijaków.

Więc Procaj w winie szukając podniety,  
Piwa na obrazy, rysuje winiety.

A że ma pendzel słaby na modelki,  
To zamiast aktów, sztosuje mebelki.

LEO: To byłby człowiek dla nas. Innych sam wyznaczę.  
Do widzenia. Zapewne jutro Was zobaczę  
U siebie, więc do jutra ciąg dalszy odkładam.

*(Leo chce odejść, gdy wtem wpada na scenę Solski na pół odziany w strój  
biskupa Gamrata z „Trylogii Zygmuntońskiej“, a za nim tłum gapiów;  
Solski rzuca się na łożana).*

---

\*) Autor zmuszony był dodać jedną zgłoskę dla rytmu. Właściwie chodzi o Skopasa.  
(Patrz artykuł p. Stasiaka w „Sztuce“ lwowskiej).

## SCENA V.

SOLSKI: Jaśnie Wielmożny Panie, do nóg twych upadam!  
Ojciec rodzony miasta, opiekunie sztuki.  
Oto ja, człek leciwy, mógłbym już mieć wnuki,  
A nic nie mam, na ciele i duchu ubogi,  
A i to nic odebrać chcą mi moje wrogi.  
Kopę lat służę sztuce wiernie i skutecznie  
I chciałbym, Bóg mi świadkiem, tak jej służyć wiecznie.  
Gram role za dziesięciu, tańczę, śpiewam, skaczę,  
Co chwila inną szminką gębę sobie znaczę,  
I co mam z tego? No co? A żyć przecie trzeba.  
O, wy, którym suchego często braknie chleba,  
Wy artyści, poświadczyć możecie me słowa...

BARBAKANTY: Ale do czego zmierza ta cała przemowa?  
Zawracanie gitary; myślisz, że my głupi  
Uwierzyć? Ho, ho! Kto cię nie zna, ten cię kupi,  
Ale nie my, mospanie; wszak wiedzą sąsiedzi,  
Jak kto siedzi.

PAN JOWIALSKI: Czyli: Wie Herbaczewski,  
Co jada Malczewski.

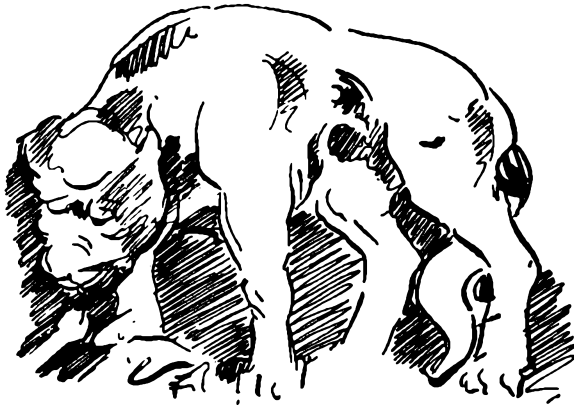
SOLSKI: Najłaskawszy ministrze! Nie daj temu wiary,  
Co mówi ten fabrykant kiepskich win, ten stary  
Rozbójnik, co ze skóry chciałby mnie obłupić.  
Ty przecie wiesz, że dziś mnie już nikt nie chce kupić  
Nawet ten, co mnie nie zna, mnie, co życiem całym  
Służyłem polskiej scenie. Ile ja wepchałem  
Grosza w tę instytucję, jeden Bóg policzy.  
I dla kogo? Dla głupiej, małomiejskiej dziczy,  
Lub dla żydów z Kaźmierza, bo nikt inny bywać  
Nie chce w moim teatrze. I ja muszę grywać  
Dla hołoty, co ostrzy na mnie swe ozory,  
Ja, bezinteresowny kapłan Terpsychory,  
Chciałem rzec: Melpomeny.

BARBAKANTY: Skończno raz ten skweres  
Już my ta dobrze znamy ten twój bezinteres.

SOLSKI: No, co się pan tak rzuci? Niech na miejscu zginę,  
Jeśli skłamał choć trochę, choćby odrobinę.  
A sam pan lubił przecie, czy pan zapomina?  
Patrzeć się, jak Mrozowska, co może, wypina,  
By starych samców trochę zapalić do sztuki,  
Co ja dla niej użyłem brzęczącej prynuki,  
Aj! Aj!

**MIEDNIAK:** A dzisiaj panie, gdy się panu nóżia  
 Ten tego powinęła, wszyscy zaraz luzia.  
**SOLSKI:** Wszystko przez tego Rydła, bodaj go cholera!  
 Zamiast sobie tłumaczyć swojego Homera,  
 On musiał dramat pisać dla mojej zgryzoty,  
 Trylogię Zygmunowską, ten wiek niby złoty,  
 Na którym się poznali wszyscy prócz Prokesza  
 I nawet taki Józef Flach psy na tem wieszka.  
 A mówili mi ludzie: Uważaj Ludwiku,  
 Żebyś tylko nie beknął na tym Zygunciku!  
     Od wierszy Rydła  
     Brzuch się rozpowidla.  
 Ale przecież, myślałem, żołądki krakowskie  
 Powinny znieść nie jedną, lecz trzy Zygmunowskie  
 Trylogie. Pan Rakowski, maryjański Sodalis,  
 Zapewniał mnie solennie...  
**BARBAKANTY:** Eh, salis mazgalis  
 Reverendis...

. . . . .  
 . . . . .



## SCENA VI.

*(Słychać wrzawę za sceną. Wszystkich ogarnia mistyczna twoga; oczy zwracają się ku niebu, jakby tam szukały uspokojenia. W tej chwili z konstellacyi Lwa odrywa się najpiękniejsza gwiazda i zapada w nicość. Na*



scenę pakuje się tłum ludzi: naprzód pędzą w nieładzie „zuchy krowoderskie” wyjąc popularną piosenkę „Do... bani z Gautschem“...; dyryguje poseł Zieleniewski. Za nimi Czytelnia Akademicka pod dobrą datą, z Dr. Zygmuntem Gutkiem na czele, śpiewając hymn ludowy: „Szedeł Jasiu do Basi, muzyka mu grała“... i t. d. Wreszcie pluton straży ogniowej prowadzony przez ogniomistrza Nowotnego. Na samym końcu delegat namiestnictwa p. Fedorowicz w pełnym mundurze a z nim jakies indywiduum odziane również w mundur; jest to Komisarz rządowy; w przyzwoitej odległości oddział policyi pod wodzą komisarza Dr. Tomasięka. Komisarz rządowy przystępuje energicznie do prezydenta, który obejmuje go badawczym spojrzeniem od stóp do głów).

KOMISARZ: Przynoszę urzędową wiadomość dla Pana:

Rada miejska została właśnie rozwiązana.

LEO: Panie, wobec ministra zbyt sobie pozwalasz.

KOMISARZ: Jeszcze więcej pozwolił sobie ów kawalarz,

Który Pana ministrem ogłosił dla szopy,

Znać, że jeszcze w Krakowie są wesołe chłopcy,

A tych i ta wiadomość pewno nie zasmęci,

Żeś pan opuścić musiał fotel prezydenci...

LEO: Oto nagroda za mą pracę i zasługi!

KOMISARZ: Swoją drogą zasługi — swoją drogą długi,

Tych Kraków ma już dosyć, przeto rząd centralny

Pozbawia cię niniejszem władzy przydyjalnej.

Piróg i mundur każ Pan schować w gdańskiej szafie,

Którą niby Sobieski zdobył na Mustafie,

A która, jak dowodzi ktoś, co zna się na tem,

Najzwyczajniejszym w świecie jest falsyfikatem.

Daremnie się na wszystko zaklina Kopera,

Że ją za ciężkie hopy kupił od Gajera,

Bo opinia publiczna dzisiaj się przechyla

Do wersyi, że zrobiono ją w warsztatach Tilla.

Lecz o tem każdy milczy (*Beatus qui tacet!*)

I takim szwindlom miasto stale daje placet,

To też już czas najwyższy skończyć tę zabawkę

I Radę miejską posłać na zieloną trawkę.

Zresztą — trudno pozwolić dłużej istnieć budzie,

W której tacy, jak Peroś, zasiadają ludzie.

PAN JOWIALSKI: Zatem: Peroś zawinił, Lea powiesili.

LEO: Cóż on zrobił? Nic nie słyszałem do tej chwili.

PAN JOWIALSKI: Pan rajca miejski Peroś, w swem rzemiośle biegły,

Wynalazł nowy sposób oszczędzania cegły

I wzięwszy za materyał budowlany dziurę

Obmurowaną cegłą, — pyszną wzniosł strukturę.  
 Ale mógł się nią cieszyć ledwo kilka godzin,  
 Nieufność towarzyszką jest bowiem narodzin  
 Wszystkich wielkich pomysłów. Więc wybuchła scysła  
 Z komisją budowlaną. Wygrała komisya:  
 Pracę kilku miesięcy zburzyła w godzinie,  
 Ale, że, jak wiadomo, Peroś z tego słynie,  
 Że ma przodkiem Syzyfa, więc na nowo dziury  
 Obmurowane cegłą windował do góry.  
 Znów historia ta sama z komisją. O, biedna  
 Ofiara atawizmu! O, beczko bezedna,  
 Cegło Syzyfa, Danajd dziurawy szafliku,  
 Wam to Peroś zawdzięcza swe straty bez liku!

KOMISARZ: Być może, że dziedziczność jest przyczyną złego,  
 Lecz to jest rzecz Wachholza, a nie Bobrzyńskiego.

JEDEN Z TŁUMU: Ten komisarz, to jakiś *Deus ex machina*

DRUGI: Przypatrzcie mu się tylko, jaka czelna mina,  
 I hultajskie spojrzenie, co wskazuje na to,  
 Że bywał kiedyś narodowym demokratą.

TRZECI: Biedny Leo, wygląda teraz nieinaczej,  
 Jak mysz na pudle, albo jak Szalay na kłaczy.

## SCENA VII.

(*Wśród tłumu gwar się wzmacza. Wpada zdyszany radca Wandalin Beringer.*)

WANDALIN BERINGER: Na zdar! Pane minister, żywio! my sem tady!

DR. ERNEST BANDROWSKI: Niestety, trafił pan już na koniec parady.

Okazało się, że nas zmistyfikowano,

A co gorsza, że radę miejską rozwiązano...

BERINGER: Zatracena!

DR. BANDROWSKI: ...a pan się zziajał, jak pies gończy.

BERINGER: Zawsze sem mluwil, co ten Leo kiepsko skończy..

GŁOSY: Do bani z Leem! Hańba! To mu dali prztyka!

LEO: Oto jest wdzięczność ludu dla swego rzecznika.

SOLSKI: Płacę chlebem za kamień: Żeby nie być zerem,  
 Dopókim ja w Teatrze, mozesz być sullerem.

LEO: Gwiżdżę na was. Nie ginie nigdy człowiek taki  
 Jak ja i jeszcze dobrze dam się wam we znaki.  
 Droga, którą niedawno przebyłem pod górę,

Zejdę w dół parę kroków i znów profesurę  
 Wezmę na Uniwerku, a choć Czerkawskiego  
 Mam wroga, wkrótce będę wydziału prawnego  
 Dziekanem. Miałem rozum, zem nie pooddawał  
 Książek do biblioteki, choć na mnie nastawał  
 Kustosz, pan Korzeniowski, gdzie mnie tylko dopadł:  
 Do wykładów przydadzą mi się na listopad.  
 Tak — choć Koła polskiego stracę prezesurę,  
 Znowu się wygramolę powolutku w górę.  
 A gdy tylko zostanę prezydentem miasta,  
 Będę znów kandydatem do teki — i basta.

PAN JOWIALSKI: Mówił, czyniąc ruję Kato:

Ὅδοσ μία ἄνω κάτω.

Mysł słuszna, ani słowa: tylko, jak wiadomo,  
 Gdy się kto puszcza ścieżką ślizką, albo stromą,  
 Łatwo może się zdarzyć, że, choć trzy godziny  
 Szedł w górę — w kilka sekund wraca na niziny.  
 Lecz kto sprytny i śmiały, ten nawet z Tajgetu  
 Spadłszy, nie skręci karku, nie połamie grzbietu.  
 Taki nigdy nie będzie prostą drogą chodził,  
 Bo czuje, że do wielkich czynów się urodził.

Trudno, by leo  
 Żywił się ideą.

Kto na małym przestaje, musi być suplentem,  
 Kto ma dobry apetyt — będzie prezydentem.  
 Są gusta i guściki, są „stany“ i „fachy“.  
 Proste tutki i żony, mężowie i gachy.  
 Jeden woli policję, drugi fach złodziejski,  
 Jeden jest człek porządny, drugi — radny miejski.  
 Chłopek kopie ziemniaki — Długosz naftę kopie,  
 Stąd wynika, że wszelka równość to utopia!

Flach pisze w „Czasie“,  
 Feldmanowi zasie.

Nie każdy proboszcz ma dwa metry w pasie.  
 Z tej nierówności taki znów wypływa wniosek:  
 Czciij każdego, kto nad cię wyższy choć o włosek,  
 Nie rób z tata waryata, z wuja pośmiechuja,  
 Gdyś szewc — szanuj ślusarza, krawca, wołobója,  
 Gdyś Krakowianin — szanuj swego prezydenta —  
 I pamiętaj, że większy Flatau niż Jellenta.

Bo ten tylko, kto z zacnej Jowialskich rodziny  
Pochodzi, ze wszystkiego może stroić kpiny.  
Na tem kończę i żegnam, bo już późna pora,  
A komu nie podoba się moja perora —  
Niech mi skoczy do wora.

Amen.

*PROTEUSZ-JOWIALSKI.*



**ZAKŁAD GIMNASTYKI  
RYTMICZNEJ I SOLFEGGIA**

(METODA JAKUES-DALCROZE'A)

**FRANCISZKI KUTNERÓWNY**

**WARSZAWA - HOŻA 39 - Tel. 140-72**

**KOMPLETY DLA DZIECI-MŁODZIEŻY  
I DOROSŁYCH.** ~~~~~



ROK DWUNASTY WYDAWNICTWA

**PORADNIK JĘZYKOWY**

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY POPRAWNOŚCI JĘZYKA POLSKIEGO,  
WYCHODZI OD ROKU 1901 W KRAKOWIE NA POZĄTĄKU KĄŻ-  
DEGO MIESIĄCĄ, Z WYJĄTKIEM SIERPNIĄ I WRZESNIA. ~~~~~

PRZEDPŁĄTĄ ROCZNĄ WYNOSI: W KRAKOWIE KOR. 2 HAL. 50,  
Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ KOR. 3, W WARSZAWIE I RB. KOP. 50,  
Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ RUBLI I KOP. 80. — W KRAJACH NĄ-  
LEŻĄCÝCH DO ZWIĄZKU POCZTOWEGO FRANKÓW 4. ~~~~~

PRZEDPŁĄTĘ PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE  
KSIĘGARNIE W KRAJU I ZĄ GRANICĄ.



BIELIZNĄ DAMSKĄ, TRYKOTAŻE,  
BLUZKI, ~~~~~ WYPRAWY.

*Gustaw Zmigajdek*

WARSZAWA.

TEL. 93-52.

CZYSTA 2.

FABRYCZNY SKŁAD KUFRÓW, WALIZ, TOREB, NECES-  
SERÓW, TOREBEK RĘCZNYCH DAMSKICH W NAJ-  
ŚWIEŻSZYCH WZORACH. ♦♦ PLEDY ANGIELSKIE  
DAMSKIE, ORAZ DO PODRÓŻY I POWOZOWE.  
FABRYCZNY SKŁAD PARASOLI I PARASOLEK.  
RĘKAWICZKI, KRAWATY, POŃCZOCHY, SKARPETKI.

ANASTAZY FRONCZ  
W KRAKOWIE · ULICA FLORYAŃSKA L. 17.

EGZYSTUJĄCA OD 1824 ROKU

FABRYKA WYROBÓW SREBRNYCH I PLATEROWANYCH



JÓZEF FRAGET

WARSZAWA-ELEKTORALNA 16

OTRZYMAŁA NAJWYŻSZE NAGRODY  
ZA ARTYSTYCZNY WYRÓB

MAGAZYNY WŁASNE: W WARSZAWIE  
(WIERZBOWA 8) - ŁODZI - WILNIE -  
PETERSBURGU - MOSKWIE - KIJOWIE -  
ODESSIE - CHARKOWIE - TYFLISIE

CHAMPAGNE

*Doyen & Co*

REIMS.

*Jeneralny reprezentant Z. Bobrowski, Warszawa, Królewska 10.*

PRYWATNE GIMNAZYUM REALNE  
Z INTERNATEM W ZAKOPANEM

ZAKŁAD NAUKOWO-WYCHOWAWCZY  
o rozszerzonym planie galicyjskich gimnazyów. — Z dniem 1-go  
września 1912 r. otwarta klasa I i II. — Z zakresu klas wyższych  
kursa przygotowawcze. Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela:

DR B. GOFRON ■ ZAKOPANE ■ WILLA „SZAROTKA“.

ZAKŁAD WODOLECZNICZY  
I SANATORYUM // // // // //  
SPEC. CHOR. NERWOWYCH DRA B. KUPCZYKA  
KRAKÓW, ULICA SZUJSKIEGO L. 11. — TELEFON 1265.

Wodolecznictwo, parnia, gorące kąpiele powietrzne, kąpiele świetlno-elektryczne, wodo-elektryczne, gazowe nasyrane ciekłym kwasem węglowym (nauheimskie) natryski elektryczne, sztuczne kąpiele mineralne, ciepłe wanny. — Elektryzowanie wszelkiego rodzaju. — Masaż ręczny, wibracyjny, elektryczny. Leczenie dyetetyczne, tuczne. — Pokoje dla chorych. — Oświetlenie elektryczne.

WSKAZANIA: Choroby układu nerwowego, żołądka i jelit, reumatyzm, niedokrewność, osłabienie ogólne, otyłość, skaza moczanowa, cukrzyca. Choroby serca i naczyń krwionośnych.

DZIECI NIE DOŚĆ ROZWINIĘTE, W NAUKACH COFNIĘTE, ORAZ SŁABOWITE MOGĄ OTRZYMAĆ WYKSZTAŁCENIE ELEMENTARNE ORAZ PRZYGOTOWANIE DO ZAWODOWEJ PRACY.~~~~~

INSTYTUT WYCHOWAWCZO-NAUKOWY  
~ DLA DZIECI MAŁOZDOLNYCH ~  
D. ZYLBEROWEJ I E. LUBLINEROWEJ  
WARSZAWA, KOSZYKOWA NR. 53. DAWNIEJ OBOŻNA 4.

ROK ZAŁOŻENIA 1869.

MIĘDZYNARODOWE TRANSPORTY  
DOM SPEDYCYJNO-KOMISOWY

**GOLDLUST I SKA**

KRAKÓW, UL. LUBICZ 7

PRZEDSIĘBIORSTWO SKŁADÓW TOWAROWYCH  
I PRZEWOZU MEBLI W OZAMI PATENTOWANYMI

FILIE:

SZCZAKOWA-  
GRANICA.

NADBRZEGIE  
PRZYSTAŃ NAD  
WISŁĄ.

TELEGRAMY:  
GOLDLUST.

Telefonu Nr. 58.

**PENSYONAT  
ALEKSANDRY  
BOROŃSKIEJ**

**W KRAKOWIE  
UL. KARMELICKA 22**

**SZKOŁA i PENSYONAT  
ANNY i LEONA STĘPOWSKICH  
DLA ŹLE MÓWIĄCYCH i NIEMYCH**

Dzieci, chcące mieć czystą i dobrą wymowę, oraz młodzież dążąca do poprawienia dykcji, znajdują również pomieszczenie i naukę. — Mogą □□□□□ uczęszczać także do szkół publicznych. □□□□□  
W KRAKOWIE, ULICA BATOREGO L. 6 (WILLA 4)



---

ADMINISTRACJA, EKSPEDYCJA I PRZYJMOWANIE  
OGŁOSZEŃ W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI  
W KRAKOWIE, RYNEK GŁÓWNY.

TAMŻE ADRESOWAĆ NALEŻY LISTY I PRZESYŁKI DO REDAKCYI.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ NADTO WSZYSTKIE  
WIĘKSZE KSIĘGARNIE POLSKIE.

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO I ROSYĘ: WARSZAWA  
KSIĘGARNIA G. CENTNERSZWERA I SKI - Marszałkowska 143.

RYDWAN UKAZUJE SIĘ CO 15. KAŻDEGO MIESIĄCA  
W OBJĘTOŚCI 2—3 ARKUSZY DRUKU.

PRENUMERATA WYNOŚI:

ROCZNIE K. 12.—, PÓŁROCZ. K. 6.—, KWARTALNIE K. 3.—  
W W. KSIĘSTWIE POZNAŃSKIM:

ROCZNIE MK. 10·50, PÓŁROCZ. MK. 5·50, KWART. MK. 2·75  
W KRÓLESTWIE POLSKIM:

ROCZNIE RB. 6.—, PÓŁROCZ. RB. 3.—, KWART. RB. 1·50

ZESZYT POJEDYŃCZY K. 1·20.

OGŁOSZENIA: ZA CAŁĄ STRONĘ JEDNORAZOWO 50 K., ZA PÓŁ STRONY  
K. 30, ZA ĆWIERĆ STRONY K. 15., ZA ÓSMĄ CZĘŚĆ STRONY K. 8. ROCZNIE  
25%, PÓŁROCZNIE 15% ZNIŻKI.

REDAKTOR I WYDAWCA:

CEZARY JELLENTA (CEZARY HIRSZBAND).

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: STANISŁAW SERWIN.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KS

WYSZŁY Z DRUKU KSIĄŻKI CEZAREGO JELLENTY:

*LINIE HOFERA*. POWIEŚĆ. LWÓW 1908 R. CENA 3 KOR.  
*CYPRYAN NORWID*. ZARYS SYNTEZY. STANISŁAWÓW  
1909. CENA KOR. 1·50.

*DRUID JULIUSZ SŁOWACKI*. NAKŁADEM FELIKSA  
WESTA. BRODY-LWÓW. 1911. STR. 225. CENA K. 3·50.

*GRAJĄCY SZCZYT*. STUDYA SYNTETYCZNO-KRYTYCZNE.  
(„NIE PIEŚŃ SEN, LECZ PIEŚŃ MOCARZA“. KONCEPCYE  
POLSKI. PROROCTWO MICKIEWICZA. DZWONY CHO-  
PINA. DONATELLO SZTUKI POLSKIEJ. RZEŻBY DUNI-  
KOWSKIEGO. JACEK MALCZEWSKI. BYZANTYNIZM  
A KRYTYKA. MODERNIZM. MIŁOŚĆ A GINĄCY ŚWIAT.  
DWIE HISTORYE KUPIECKIE. GRAJĄCY SZCZYT).  
NAKŁADEM S. A. KRZYŻANOWSKIEGO. KRAKÓW  
1912. STR. 230. KOR. 4·50.

OSTATNIO WYSZŁA Z DRUKU:

*MEDUZA*. FANTAZJA DRAMATYCZNA W 3 AKTACH.  
KRAKÓW 1912. G. GEBETHNER I SP. WARSZAWA —  
GEBETHNER I WOLFF. CENA KORON 3. OSOBNO LI-  
BRETTO DO OPERY LUDOMIRA RÓŻYCKIEGO „ME-  
DUZA“ CENA 1 KOR.

SKŁAD PAPIERU I PRZYBORÓW MALARSKICH

**R. ALEKSANDROWICZ**

W KRAKOWIE, ULICA BASZTOWA 12.  
RÓG ULICY DŁUGIEJ. Gmach Izby Handlowej

POLECA: REPRODUKCYE (FOTOGRAFIE)

**NAJWYBITNIEJSZYCH DZIEŁ SZTUKI**

oraz pocztówki wszystkich większych europejskich galeryj  
począwszy od najstarszych prymitywów aż do współczesnych.